

Dekada Literacka

Kraków

27 IV—14 V 1991 r.

Tygodnik

Nr 21

Co nam zostało z „Marcowego gadania”

Michał Głowiński

Michał Głowiński wyda wkrótce — nakładem wydawnictwa POMOST — książkę pt. „Marcowe gadanie”, swoistą kronikę lat 1966—71. Jest to zbiór najbardziej charakterystycznych dla propagandy tamtych lat pojęć, sloganów, haseł z prasy, radia i telewizji.

W zapiskach Głowińskiego najbardziej niepokoi pytanie: czy przypadkiem niektóre z haseł „Marcowego gadania” nie rozpoczęły drugiego życia w Rzeczypospolitej...?

MARZEC 1968 A JĘZYK

Język jest czułym instrumentem. Notuje wszelkie drgania w życiu społecznym, tym bardziej więc wydarzenia dramatyczne znajdują w nim odzwierciedlenie. Tzw. wydarzenia marcowe od razu — by tak to określić — weszły w język. Ujawniło się to w trzech punktach:

1) w reaktywowaniu formuł

z okresu właściwego stalinizmu, tzn. pierwszej połowy lat pięćdziesiątych;

2) we wprowadzeniu w życie tradycyjnego języka pracy, przede wszystkim w jego postaci z lat trzydziestych;

3) w odwołaniu się do języka prasy brukowej, apelującej do najniższych instynktów.

W ciągu następnych miesięcy dwa ostatnie elementy zostały nieco stuszowane, choć bynajmniej ich nie wylimnowano. Stuszowanie to wią-

że się prawdopodobnie z przebiegiem walk wewnątrzpartyjnych. W ciągu ostatniego półroczu powołano do życia wiele formuł, słów, określeń. Nowe elementy np. wniosła w tej dziedzinie okupacja Czechosłowacji; można się spodziewać, że dla ukształtowania języka będzie ona faktem o wielkich konsekwencjach.

Wbrew pozorom, uwagi te nie dotyczą wyłącznie języka propagandy. Odnoszą się także do codziennej mowy zwykłych ludzi — są to przecież naczynia połączone. Nie wynika z tego oczywiście, że współcześni Polacy mówią tak jak propagandyści z radia, telewizji czy „Trybuny Ludu”. Ich język przenika jednak do zwykłej mowy i to w sposób wieloraki. Pewne formuły nasiakają ironią, inne prowokują do kontrformuł. Ruch jest zresztą, w jakiejś przynajmniej mierze, dwustronny. Formuły nieoficjalne przenni-

(CIAĞ DALSZY NA STR 5)

Życie towarzyskie, uczuciowe i konspiracyjne

Janina Thor

JANINA THOR, zmarła w roku 1977, żona senatora II Rzeczypospolitej i towarzysza Józefa Piłsudskiego z działalności w PPS Stanisława Thora, jest autorką nie publikowanych dotąd wspomnień, które pisane barwnie i z temperamentem przybliżają obraz Kongresówki z początków wieku i opowiadają o trudnych początkach odradzającej się polskiej państwowości.

W 1903 roku ukończyłam w Warszawie Kursy Handlowe — była to pierwsza w Królestwie szkoła zawodowa dla kobiet.

Aleksandra Szczerbińska, późniejsza Piłsudska, była moją koleżanką — przyjechała z Suwałk. Na kursach znalazły się nie tylko panienki — całej Kongresówki, ale i Polki z Rosji, a nawet Syberii. Wiele młodych kobiet zaczęło wówczas ciągnąć do Warszawy, by wyuczyć się jakiegoś zawodu i dostać pracę. Przeważnie nie miały pieniędzy i żadnych znajomości — znalezienie odpowiedniego i niedrogiego mieszkania stanowiło dla nich problem trudny do przezwyciężenia. Koło Pań, społeczniczek, z wpływowych i zamożnych sfer Warszawy, chcąc temu chociaż w części zaradzić, otworzyło coś w rodzaju bursy pod nazwą „Ognisko

Domowe”. W nowoczesnym eleganckim domu — róg Boduena i placu Wareckiego — bursę zajmowała całe piętro. Po skończeniu kursów zamieszkałam tam z Janiną Szokalską z Radomia. Udało nam się uzyskać zezwolenie na przyjmowanie gości w naszym pokoju (pod warunkiem, że drzwi będą otwarte).

Życie towarzyskie i konspiracja

Brat mojej towarzyski, Szokalski, wraz ze swoim przyjacielem Żandrem, obaj studenci medycyny, opiekowali się nami. Mieli niewyczerpaną ilość pomysłów na przyjemne i wesołe spędzanie czasu.

W niedziele i święta spacerowałyśmy lub wycieczki — łodziami na Saską Kępe, gdzie była znana knajpka, a w ogródku

huśtawki, to znów na Mokotów do Królikarai na podwieczorek do ślicznego pałacyku — Szokalski był tam bibliotekarzem — i wiele innych. Poza tym teatr, odczyty i konspiracyjne zebrania w mieszkaniach studenckich. Nasze imienniny obchodzono hucznie (byłyśmy obie Janiny). Pamiętam jak przyniesiono nam kosz w kształcie łodzi metrowej chyba długości, ubrany wstążkami, pełen pomarańcz i słodczy, no i tłum gości — byli to wyłącznie studenci. Wszystko to wzbudzało zazdrość i zgorznienie. Ktoś postarał się zaniepokoić moich rodziców. Pisali, żebym koniecznie opuściła to ognisko o złej reputacji.

„Nie byłam odważna...”

Pracowałam 8 godzin dziennie, od 8 rano do 18 z dwugodzinną przerwą na obiad. Nie było nawet czasu na przeczytanie książki.

Wtedy poznałam Stanisława Thora, mojego przyszłego męża. Przyjechał z Chełma, gdzie za rozmowę po polsku wylatywało się z gimnazjum z „wilczym biletem”. Należał do PPS i, mimo młodego wieku, pełnił już odpowiedzialne

(CIAĞ DALSZY NA STR. 4)

Drodzy Czytelnicy!

Od 15 maja br. „Dekada Literacka” zacznie ukazywać się jako samodzielny dwutygodnik kulturalny — a nie jak dotychczas w formie sobotniego dodatku do „Gazety Krakowskiej”. Będzie mieć też zasięg ogólnopolski.

„Dekadę Literacką” redagowaną przez ten sam zespół ze Stowarzyszenia Pisarzy Polskich można będzie nabyć zarówno w kioskach „Ruchu”, w wybranych księgarniach, jak i w prenumeracie — w Krakowie, Nowym Sączu, Tarnowie, Zakopanem, a także w dużych miastach Polski, z Warszawą włącznie.

Szukajcie „Dekady” zawsze na początku i w połowie miesiąca. Ten sam format i tytuł, powiększona o 4 strony objętość (razem 12) — i cena 1500 zł.

Paul Engle

PAUL ENGLE — (1908—1991), wybitny poeta i pisarz amerykański, autor ponad 20 książek, laureat wielu nagród, ostatnio prestiżowej nagrody Amerykańskiej Akademii i Instytutu Literatury i Sztuki. Był twórcą słynnego w świecie Międzynarodowego Programu Pisarskiego w Iowa City, w którym uczestniczyło też wielu pisarzy polskich, by wymienić tylko Andrzeja Kijowskiego, Juliana Strykowski, J.J. Szczepańskiego. Umarł na atak serca na lotnisku w Chicago, w dniu odlotu do Europy, w tym i do Polski, gdzie przygotowaliśmy z dawną oczekiwaną spotkanie z nim i jego żoną, pisarką i tłumaczką Hualing Nieh w Warszawie i Krakowie. Minister Marek Rostworowski miał go udekorować Orderem Zasługi dla Kultury Polskiej

DRZWI

Chodzę wokół trzymając w ramionach drzwi,
Które otwierają się na wszystkie strony świata.
Kiedykolwiek chcę przez nie przejść,
Delikatnie otwieram je kluczem,
Tak cienko żłobionym jak język kłamcy.
Przekręcą go bezgłośnie lekkim poruszeniem.
Bez tego klucza musiałbym drzwi moje wyrzucić.
On kołacze w kieszeni jak żyjące serce.

Czasem słyszę warczenie po drugiej stronie drzwi.
Nigdy nie znajduję tam psa.

Czasem czuję ogień
Bez dymu. Nic się tam nie pali.

Czasem nawet pukam do drzwi.
Mój klucz pieści zamek.
Nigdy nie znajduję tam siebie.

Czasem trudno utrzymać te drzwi,
Które chcą się wyrwać
Z dręczonej niewoli zawiasów.

Słyszę krótki dźwięk i jeszcze raz
Wkładam cierpliwy klucz do zamka.
Drzwi otwierając się drżą:

Na gołej ziemi smuci się cień chłopca.
Kiedy chcę zamknąć drzwi,
Ciemna dłoń wyciąga się ku mnie.

Przytrzasnę drzwiami tę dłoń.

przełożył
Leszek Elektorowicz

Telewizyjne dzieci

Jacek Wojciechowski

Przed laty ekipa Gierka, trwoniąc miliardy na telewizję, pożalowała na poligrafię tysięcy, bo słowo drukowane nie było jej potrzebne. Nawet przeskądzało: literatura zawsze była nieposłuszna. Więc ogłoszono koniec ery Gutenberga, a w sukurs przyszedł (mimo woli) genialny kanadyjsko-amerykański szalbierz M. McLuhan, głosząc to samo, chociaż czasem zaprzeczając.

Większość uwierzyła i przestała kupować (i czytać) własnym dzieciom książki. Wujek Gutenberg, ze swoim wynalazkiem, został odesłany do narożnika, a w roli zwycięzcy wystąpił wujek z telewizji. No i jest jak jest.

A jest źle lub gorzej niż źle: w kryzys druku uwierzone o kilkaset lat za wcześnie. Na razie nie wymyślono lepszej maszyny uczącej, aniżeli tekst pisemny, książka, podręcznik. Nie powstał też lepszy niż literatura stymulator refleksji, pobudzenia intelektualnego. Ale jak mają korzystać ludzie, którym od małego wbijano do głów, że czytanie to przeżytek oraz strata czasu? W dodatku wiadomo, że nadmierne ślęczenie przed telewizorem uniemożliwia następnie skupienie się przez czas dłuższy na czytaniu, uczeniu się albo myśleniu.

Jest bezrobocie i szansę ma ten, kto więcej wie i więcej

umie, wszelako istnieje pytanie: z czego? Raczej nie z oglądania „Dynastii”, ani ze słuchania rockowej papki przez okrągłą dobę. Więc z odesłaniem przed laty wujka Gutenberga do narożnika porobiło się tak, jakbyśmy nokaufowali swoje własne dzieci: otóż ich szanse na dobre miejsca w życiu maleją. A w kolejce czekają już dzieci tychże dzieci. Czy z nimi też będzie podobnie?

Miś — dziś

Niestety, to niewykluczone. Rzecz bowiem na tym polega, że ze słowem drukowanym trzeba zaprzyjaźnić się od małego, więc pomiędzy trzecim a dziewiątym rokiem życia. Inaczej człowiek już zawsze będzie z tym słowem wojował na pięści i żadne czytanie — dla wiedzy, myślenia, bądź dla przyjemności — nie stanie się jego zajęciem. Otóż o tę przyjaźń jest coraz trudniej.

Zaczynała się przeważnie od czasopisma „Miś”. Gdzie dziś jesteś „Misiu”, „Króliczku”, „Świerszczyku”, lub jak cię tam jeszcze nazywają, gdzie jesteś oraz jak często wydają cię twój wydawcy, czyżby raz na rok? Gdzie jesteście, wszystkie czasopisma dla dzieci — zupełnie was w kioskach nie widać pośród zastępów gołych pań — a nadto pytanie mało przyzwoite: ile kosztujecie? Bo tych tysięcy, które wpisano w wasze ceny, akurat rodzicom niestety brak.

Czas, który nastąpił, przyniósł również i taką zmianę: została zdjęta anatema z komiksu. Otóż użyteczność do-

brych komiksów, odpowiednio przemyślanych, dla 6- oraz 7-letnich dzieci jest bezdyskusyjna. Jednakże poza pojedynczymi edycjami (a ceny!!!), wciąż jeszcze takie komiksy u nas nie istnieją. Mówi się tylko, że mają być.

Książka dla dzieci

zawsze cierpiała na różne dolegliwości. Książek dla dzieci zawsze brakowało, zwłaszcza brakowało książek do brych, a teraz brakuje ich jeszcze bardziej. Toteż jest źle.

Najtrudniejsza z trudnych sztuka pisania dla dzieci nie cieszy się wzięciem, bo przy najwyższym progu trudności, uznanie jest żadne, honorarium żadne i jeszcze nie sposób znaleźć wydawcę. Dlatego dla dzieci piśmiennictwo małe małe. Łatwo zauważyć, że od ponad stu lat w społecznym obiegu pozostają głównie te same teksty dla dzieci, tych samych autorów. Zaś lista autorów z ostatnich dwudziestu lat jest krótsza niż krótka. Chciałoby się krzyknąć: ratunku!

Ponadto szczególnie trudna sztuka edycji książek dla dzieci (ilustracje, powiększony druk, zycie, specjalny papier) zniechęca większość wydawców. Dlatego wydaje się mało, źle oraz drogo. Ceny książek dla dzieci są takie, że rodzicom drżą ręce.

Jest mowa o różnych fundacjach, wsparciach, preferencjach, no więc istnieje ewidentna potrzeba: książeczki dla dzieci należy pomóc, zanim stanie się wspomnieniem. Wsprzeć edycje z fundacji (rodzimej, polonijnej, zagranicz-

nej), pomóc przez ulgi w podatkach. Wsparciem koniecznym jest też ochrona bibliotek publicznych przed radnymi pomysłami świeżych decydentów — żeby je polikwidować albo połączyć ze szkolnymi.

Poczytaj mi, mamo

O tym, czy dzieci wezmą się za czytanie — na-przód pośrednio, potem bezpośrednio — a wobec tego i o tym, czy ta czynność będzie dla nich czynnością zwyczajną kiedy już przestaną być dziećmi, decyduje głównie rodzina. Jeśli książki oraz gazety są po prostu w domu używane i jeśli dzieciom w wieku 3-8 lat towarzyszą lektury rodzinne.

Znaczenie fundamentalne mają zwłaszcza te lektury pierwsze, w wieku 3 lat oraz nieco później. Bo jest w nich coś więcej niż samo czytanie: to przecież zwrócenie uwagi na siebie, skupienie jej właśnie na sobie. Ten, kto komuś czyta jest bowiem jak ten, kto mówi. A czyta, mówi, zwraca się do tego, kto słucha. No i o to chodzi — o to czytanie, mówienie DO dziecka.

Jeżeli w tym wieku ma regularnie miejsce tak rozumiana lektura „lektorska”, to w świadomości na całe życie zachowa się życiowe wobec czytania nastawienie. Ale nie jest obojętne, kto czyta. Jeśli nie ma czasu ojciec, jeśli też brakuje czasu mamie lub jeżeli wszyscy zasiądą do rytualnego oglądania telewizji, to cała idea weźmie w łeb. I wprawdzie w zapasie do ewentualnego czytania jest zapewne babcia, albo jakiś wujek, ale to jednak nie to samo.

Na wspólne lektury nie potrzeba tego czasu tak wiele. Wystarczy kwadrans, natomiast codziennie i przez kilka

lat. Nielatwo? Z dziećmi w ogóle nie jest łatwo.

Nauka czytania to dla dziecka bardzo ciężka praca i szczególnie nudna. Namęczy się, jak wszyscy diabli, żeby po godzinie dowiedzieć się z przeczytanego tekstu, że „Ala i As są daleko od domu”. Nie jest to wiadomość dostatecznie bulwersująca, żeby mogła zrekompensować wysiłek.

Telewizyjne dzieci

Wystarczy natomiast pstryknąć włącznikiem telewizora, żeby pojawił się przekaz ciekawszy i po sto razy łatwiejszy w odbiorze. Jaki z tego wniosek? Otóż jeżeli w tym czasie poniecha się frapujących lektur rodzinnych, wciąż jeszcze pośrednich, to wówczas prawie na pewno czytanie znacznie kojarzyć się z pracą, niesympatyczną, trudną, oraz nudną. I to przeświadczenie zachowa się na całe życie.

Dzieci, które ostatnimi laty trafiają do klas „zerowych” i pierwszych, w przeważającej większości, wyraźnie, w domu nie miały żadnych kontaktów z książką, ani też z gazetą. To są dzieci telewizyjne, dzieci stanu postwojennego. Rodzice zastrajkowali? Teraz szkoły próbują robić co można, biblioteki (jeśli nareszcie pozwoli im funkcjonować) organizują wieczory bajek, imprezy, lecz trudno odrobić zmarnowany bezpowrotnie czas.

Rosną więc kolejne zastępy potencjalnych wrogów czytania, uczenia się, wiedzy: szeregi kandydatów na bezrobotnych. Ponura to perspektywa. Zwłaszcza, że w ten sposób nigdy nie odtworzymy inteligentnej klasy „średniej”, która wzięłaby na swoje sumienie odrodzenie kraju.

Ale tak wcale nie musi być. „Poczytaj mi mamo” — to hasło zawołane zawiera, jak widać, zdumiewająco poważny sens.

Co nowego w prasie?

„Obyczaje ostatniego sezonu” to tytuł artykułu prof. Aliny Witkowskiej, dyrektora Instytutu Badań Literackich PAN, zamieszczonego w miesięczniku KONFRONTACJE (nr 3). Choć o nasze polityczne polemiki. Ich formę, poziom intelektualny i moralny autorka ocenia bardzo negatywnie. Krytyka obalonego systemu przyniosła falę propagandowej tandety, demagogii, porachunków, bo nawet nie rozrachunków i totalnej krytyki przeszłości. W operacjach tych w niewielkim stopniu uczestniczył intelekt, w znacznym — uczucia. Retoryczność krytyki nieważna na celu unicestwienie przeciwnika, jego racji. Wtedy musi się pojawić nihilizm jako formuła totalnej negacji, a w ślad za nim konsekwencje obyczajowe — zwolnienie rygorów umiaru, dobrego smaku i zwykłej przyzwoitości, przyzwolenie zaś na gwałt myślowy i językowy, na literacką stylistykę unicestwienia.

Autorka przypomina, iż tego rodzaju wypowiedzi nagłośnione przez telewizję w komentarzach, transmisjach sejmowych, w kampanii wyborczej, przesłają być jednostkowymi zachowaniami bądź wydrykami, stając się przyjętym stylem myślenia i bycia. Nihilizm był, jest i zapewne długo jeszcze będzie utożsamiany z rewolucyjnym radykalizmem. I będzie rzucał po-

strach. Skądinąd warta zastanowienia jest tak widoczna dzisiaj, a wewnątrz sprzeczną, dążność do rozrachunku z komuną przy trwałym przywiązaniu nie tylko do jej metod, ale także do jej zasad moralnych, do jakobińskiego radykalizmu. Zygmunt Krasiński (...) pokazał mechanizm rozpedzonego koła — rewolucji, które nie może przestać się obracać. W dzisiejszej politycznej obyczajowości polskiej (...) amatorzy oczyszczającej maszyny (...) chętnie do-rzucają nowego paliwa pod lokomotive postępu. A to spółki nomenklaturowe, a to pisarzy splamionych kolaboracją z komuną, a to inteligencję, która się skończyła, a to wreszcie przeciwnika najświeższej daty — członków ekipy Tadeusza Mazowieckiego.

TYGODNIK LITERACKI (nr 16) poświęcił niemal cały numer tematyce żydowskiej, czcząc w ten sposób rocznicę powstania w getcie warszawskim. Wśród fragmentów prozy, wierszy międzywojennych poetów Maurycego Szymela i Maurycego Schlangera, wywiadów i wspomnień, wybija się obszerna praca Włady-

śława Panasa „Ja — polski poeta, hebrajski niemowa”, poświęcona analizie literatury polsko-żydowskiej i żydowsko-polskiej lat 1918-1939. Autor wykazuje, iż nie są to ani dwie różne literatury w obrębie jednego piśmiennictwa, ani dwie różne nazwy tego samego, ani nawet dwa różne punkty widzenia, lecz — wyrażona w formie niezbyt wygodnej istota tej literatury. W literaturze tej przemawia po raz pierwszy po polsku Żyd jako podmiot i przedmiot swej wypowiedzi.

Swego rodzaju ciekawostką jest bardzo kontrowersyjna wypowiedź na temat postaw ideowych młodego pokolenia (Grzegorz Ociepa „Czarna dziura”, POLITYKA nr 16). Autor, solidaryzujący się z kontestacyjnymi środowiskami młodzieży, twierdzi m. in., że błędem politycznym T. Mazowieckiego w stosunku do młodego elektoratu było, iż w czasie jego rządów nie doszło do występów w Polsce słynnego zespołu rockowego „The Rolling Stones”. Zdaniem autora tak jak kiedyś towarem strategicznym dla dorosłej części społeczeństwa było mięso, tak dziś dla młodzieży jest muzyka. Uniwersalną muzyką młodych ludzi całego świata jest rock and roll. (...) Fakt, że kawał ta nie zagrała w Polsce uświadomił nam — po raz kolejny — że mieszkamy w kraju barbarzyńskim, leżącym poza kręgiem cywilizacji. Jeśli Ociepa prawdziwie przekazuje reakcje młodzieży, to znaczy, że związki kultury (sui generis) z polityką są znacznie silniejsze niż sądzą nasi politycy.

J. I.

Fundacja obywatelska

Fundacja Obywatelska założona została w 1990 r. przez Lecha Wałęsę. Ustanowione przez Fundatora cele są istotnymi składnikami realizowanego przezeń programu, który przez wiele trudnych lat jednoczył społeczeństwo polskie w dążeniu do budowy pluralistycznego systemu politycznego i samorządowego.

Program ten zainspirował narody Europy wschodniej do wolnościowych przemian oraz zyskał powszechny podziw społeczeństw krajów rozwiniętej demokracji.

Fundacja działa na rzecz budowy pluralistycznych struktur demokratycznych, w ramach których może działać każda uznająca podstawowe wartości kultury europejskiej orientacja polityczna. Fundacja nie finansuje jednak działalności politycznej. Z programów fundacji nie mogą korzystać partie ani stronnictwa polityczne.

Fundacja buduje demokrację „od dołu” — kładąc nacisk na edukację demokratyczną i promocję aktywnych postaw obywatelskich.

Fundacja nie finansuje organizacji czy struktur, lecz programy.

Wspomagając aktywność, fundacja wymaga od inicjatorów własnych wkładów w finansowanie programów i przedsięwzięć.

Fundacja typuje programy do dofinansowania oraz nadzoruje ich realizację przy pomocy 49 biur terenowych, obejmujących swym działaniem wszystkie województwa.

Założyciel Fundacji, obecny prezydent Rzeczypospolitej Polskiej, żywo interesuje się naszą działalnością i chętnie spotyka osobiste ważniejszych współpracowników i ofiarodawców fundacji.

W jego imieniu i z jego upoważnienia zapraszamy wszystkich zainteresowanych rozwojem polskiej demokracji i kultury politycznej do osobistego, rzeczowego lub finansowego zasilania naszych działań.

Lech Dymarski

Prezes Zarządu

RADA FUNDACJI: Andrzej Słowik (przewodniczący), Stefan Kozłowski (wiceprzewodniczący), Jerzy Eysymont, Lothar Herbst, Andrzej Kostarczyk, Stanisław Krukowski, Stefan Kurowski, Krzysztof Lybacewicz, Antoni Maciarczyk, Leszek Piotrowski, Elżbieta Seferowicz, Sławomir Siwek, Tomasz Stankiewicz, Leonard Szymański, Józef Śliż.

Wkrótce w wydawnictwie „Znak”

Stanisław Vincenz

DIALOGI Z SOWIETAMI

Wspomnienie spotkań i rozmów z Sowietami po ich wkroczeniu na ziemie polskie, w sowieckim więzieniu w Stani-sławowie, a pod koniec wojny na Węgrzech, kiedy dotarł Jam front wschodni. Vincenz dostrzega w swoich rozmowach nie tylko anonimowe kółka wszystkichniszczącej machiny Instytucji, jak ją nazywa, ale również jej — często nieświadome — ofiary. Z pełnym życiowości zaciekawieniem obserwuje każdego ze spotkanych ludzi, stara się ich zrozumieć, nie ulegając pokusie łatwego ferowania wyroków. Pełnej dojrzałości humoru relacji towarzyszy głęboka, humanistyczna refleksja nad istotą natury ludzkiej.

Śmierć Aleksego

Iwona Misiak

Życie Aleksego zaczęło przypominać żywot błogosławionego męża o tym imieniu, zauważył to któregoś popołudnia, szedł wtedy Zwierzyniecką, niósł siatki zakupów. Nie przeczuł do końca losu. Jego ostatnie godziny wyglądały tak: wszedł w mroczną, wilgotną bramę, minął zapach kotów, kubły pełne śmieci i sapiąc wdrapał się po stromych schodach na drugie piętro. W domu panowała cisza. Zapalił światło, słaba żarówka ukazała długi, brązowy korytarz, na ścianach którego czasostawiał plamy i zacieki. Zmatowiałe lustro uchwyciło postać niskiego mężczyzny w okularach. Jedyną ozdobą poza wieszakiem i półką na buty były reprodukcje madonn i świętych. Wyblakłe oczy patrzyły poważnie. Matka Aleksego zazwyczaj zajmująca się przyziemnymi sprawami sprzątania i zakupów wyjechała wczoraj do Przemyśla odwiedzić ciężko chorą siostrę. Żona odprowadzała synów do szkoły. Wrócił dziś wcześniej z biblioteki, w której zniknął na całe dni. Od wielu lat pisał

doktorat o krakowskich kaznodziejach i wyrwał nie rezygnował z książki o pewnym historyku z Wilna. Proroctwo jego słów urzekło go niegdyś. W tajemnicy przed wszystkimi prowadził pamiętniki, kaligrafował starannie w grubych brulionach. Światło zielonej lampy wylawiało z mroku pracownię zgarbioną sylwetką. Gdy szeleścił kartkami i stuknął w zdezelowanego „hucznika”, domownicy zaczęli chodzić na palcach. Muchy przysiadły na ścianach i w szklankach. Jedynie dozorca nie przestawał kłaść i szurać miotłą. Spłoszone gołębie podrywały się do krótkiego lotu, zataczały koło i ponownie siadały na parapetach.

Aleksy wszedł do kuchni, położył klucz i siatki na stole. Postawił czajnik na gazie, zaczął przeglądać gazetę. Przed licznymi, ukrytymi rozterkami, które gnębiły jego duszę, szukał ucieczki także w religii. W niedzielę słuchał jak huczały łacińskie psalmy i z powagą spoglądał w stronę ołtarza. Odszukiwał wzrokiem małą figurkę mi-

nistranta w biało-czerwonym ubraniu, cieszył się, że Tomaszek służył Bogu. Aleksy nie ukrywał zmartwień z powodu rozmiłowania się rzeczywistości z jego pragnieniami. Czy którekolwiek z marzeń spełniło się? Żałował wjele rzeczy, najbardziej tego, że się ożenił i że nie uciekł od żony. Zazdrościł wszystkim swoim świętym ukrytym w opasłych księgach, życia pełnego wyrzeczeń i podziwu wiernych. I tego, że po śmierci stawali się złoci, promieniscy, szczęśliwi. Słodkiego zapachu ich ciała, cudów i modlitw szukał w zimnych kościołach. Wiedział, z patronem łączyła go liczba. Urodził się 17 lipca, w tysiąc kilkaset lat po zgonie syna Eufemiana. W czasie, który mu nie odpowiadał.

Był chłodny, zgaszony dzień listopadowy. Skąpo oświetlone miasto miało niezdrowe zabarwienie, przypominało człowieka ulepionego z szarej gliny. Wieczór zapadł dziś szybko, mgła nad Wisłą wypełniła ulice. Od tygodnia strąkowała komunikacja. Była połowa jesieni, liście spadły z drzew, konary straszyły nagością, na chodniku bieleły się ptasie odchody. Na ulicy pojawił się Aleksy, postawił kołnierz jesionki, przetarł szkła okularów i wsunął zziębnięte ręce do kieszeni. Przechadzka wypadła niespodzianie,

wybiegli, rozdrażniony wrzaskiem chłopców i milczeniem żony, ciszą, którą raz tylko przerwała, aby powiedzieć, że kluje swoim spojrzeniem. Chcąc się uwolnić od przypadkowego towarzysztwa ludzi, skręcił w szeroką ulicę, w niewielkiej odległości lśniła atramentowa rzeka. Na niebie błyszczały gwiazdy, drobne cząstki rozsypane pomiędzy złotem. Nie ma chyba człowieka o tak twardym sercu, aby nie odczuł współczucia na widok nieszczęścia idącego Podzameczem. Aleksy omijał rozlewiszka kaluż, pochylony cień na murze podążał krok w krok za nim. Deszcz znowu zaczął sapać. Bywają ludzie, o których trudno myśleć jak o zmarłych, którzy nie pasują do śmierci. Aleksy spotkał ją jednak w czarnej, mglistej ulicy, nie opodał Wawelu. Śmierć wyszła z krzaków, przybrała postać niechlujnego, pijanego mężczyzny. Zaskoczyła go w środku rozmowy o złotej pomarańczy Willema Kalifa. Leżał samotny, otoczony nocą, na chodniku, między grubymi pniami dębów. Przykrył go mrok odbity od kłasztora Bernardynów. W lewej ręce ścisnął kawałki kartek, zapewne szukał czegoś na obronę, szpilki lub spinacza, trzymał kurczowo świstki, kwitki wystawione przez brzydką urzędniczkę z Podwala, świadczące, że dwa dni temu wysłał kilka listów poleconych.

Czytanie z ran czyli o wymowie złorzeczeń

Jan Kracik

O ile łatwo zgodzić się, że natężenie i styl klótni odsłania dolne warstwy kultury osobistej uczestników, o tyle przesadą wydaje się mniemanie, jakoby dobór wymawianych w zapamiętaniu słów mógł się przydać do czegoś innego, niż kolekcja językowych turpizmów. Używane w przeszłości wyzwiska i sposób urągania bliźniemu swemu zapewne nie okazały się wielkim źródłem historycznym. Spróbujmy jednak wydobyć z nich garść informacji o wyznacznikach społecznego prestiżu, pogardzanych zajęciach, o ludzkich aspiracjach.

Wypominanie czy wstawianie innym chłopskiego pochodzenia polepszało samoocenę zasiedziałości od pokoleń kleparzanina. Plebejusze poprawiali sobie samopoczucie nie inaczej niż urodzeni, wskazywaniem tych, co stoją niżej. Kiedy taki oto mieszczanin w pierwszym pokoleniu, w drobnej zwadzie, pogroził rozmówcy trzymaną w ręku laską trzciniową, usłyszał przypomnienie swej poprzedniej kondycji oraz stosownych do niej atrybutów: „a ty chłopie, do kłonicie tobie albo do kija, a nie do trzciny” (1700). Inny świeżej daty kleparzanin, gdy odezwał się do współtowarzysza pasamoniczego fachu, iż jest przybyszem, który wnet wyniesie się z miasta, „a jam przecie mieszczanin”, usłyszał w odpowiedzi propozycję, która tak go ubodła, że krzyknął: „łiesz, hultaju, pierwszej ciebie będą ćwiertować, niżeli ja będę sieczkę rzezał” (1650). Mieszkaniec byle kleparzkiej chałupy, mający się nieraz gorzej od wiejskiego gospodarza, uważał, że mu się mocno ubliża „chłopem go nazywając”. Cenił sobie osobistą wolność, a jej ograniczenie wypominał i w klótni wywodzącemu się ze wsi sąsiadowi: „ty chłopie poddany, pańska skóro”.

Świadomość własnej genealogii, uznawanej przez otoczenie za gorszą, uwierała jak kamyk w bucie. Nie można zaprzeczyć swemu wiejskiemu pochodzeniu niejednemu usiłował pokazać, że potrafi nie mniej niż rodowity mieszczanin. Gdy w 1700 r. podchmieleni majstrowie Lozarewicz i Samolewicz porwali się do szabel, pierwszy potrząsając pożyczoną klingą, odgrażał się: „Poczekajże jeno, bracie, będę ja się z tobą bił po chłopsku, a ty, jako miejski synek, ze mną po miejsku”. Spo-

tykani na targowisku i nocujący często przy koniach po kleparzkiej zajazdach furmani z Pogorza posłużyli do utrwalania stereotypu chłopskiego nieokrzesania. Kiedy w 1654 r. podczas wyzwolnionego czeladnika stolarskiego jeden z podchoconych majstrów „począł po izbie z gotą szablą skakać, wywijając”,



„Na Kleparzu” — „Kłocz”, 1879 r.

przywołano go do porządku słowami: „mity bracie, zantechajże tego, bo to po góralsku”. Ublizając kobiecie dodawano też czasem — góralko.

Stan posiadania odgrywał wielką rolę w doborze słów par małżeńskich, a nierówność majątkowa partnerów miała spory wpływ na ich pozycję w rodzinie. „Ten hultaj, włazek, wkradł mi się w moją pracę” — pomstowała na drugiego męża bogata siodlarka w 1704 r. Niższe pochodzenie, mimo późniejszego awansu, ciągle tkwiło w pamięci otoczenia i własnej. W pewnym dość gwałtownym dialogu dwu kleparzskich majstrowych rzeźniczego fachu (1702), ujma została odprowadzona w następujący sposób: „takeś ty wytartuch, jako i ja, bo nas ta tylko dwie, cośmy musiały u ludzi kąty na służbie wycierać, insze są domatorski”. Inna para rozmówców wypominała

sobie poglądowo ubogie i małe ojcowizny: „na twojej ojczyźnie garścią piasku nabierze; twoją świnię rozkopaty”.

Najbardziej dosadne zelżywości, również i na dawnym Kleparzu, już to przypisywały niecną, konduitę rozmówcy, już też kwestionowały legalność pochodzenia interlokutora. W ranieniu cudzych uczuć stosuje się bowiem dość monotonne środki wyrazu. Pisownia zaznaczająca dziś dystans wobec nieparlamentarnych słów stawianiem pierwszej litery i wykropkowaniem pozostałych, rzadziła sobie wtedy nierzadko odwrotnie: w księgach sądowych wyraz pisano w całości, zamieniając tylko początkowe knam (podobnie jak d na l w pewnym czteroliterowcu). Używano i form równoznacznych w rodzaju: zamtużnica, przeskoczka, przebitka. Słowne poniewieranie sięgało i po inne uwłaczające praktyki — złodzieju, czarownicy, z diabłem trzymasz, pijaczko (na pijaka trudno trafić, widocznie nadużywanie alkoholu szpeciło prawie wyłącznie panie). Są i epitety, jak: małpo, lamparcie, psie, hultaju, ogarze, wypiekunie,

stopy stąpać, gdzie murwy chodzą, boś większa nad nie”.

Pogardzane zajęcia obciążały pozycję społeczną dzieci, a zasiedziałość stawała powód do chluby. Zarzucał „zem ojca hycła miała, że pod szubnicami psy bił, a mój tu w Kleparzu kości polozył”. Zła sława promieniowała bardziej niż dziś na pozostałych członków rodziny — „samaś złodziejka, dowiodęć tego, i mąż twój ultaj, złodziej”; „jaki był ojciec twój szalbierz, takiś i ty”; „twoja matka była czarownica, jeździła na ożogu po granicach”. Uwłaczano też drugim poddając w wątpliwość potoczne wyobrażenia o związkach między pozycją społeczną a umysłowością czy moralnymi przymiotami adresatów — „choćjaż radna, a przecieś głupia, ty kalafarnio” (kalafa = pysk); „wszystkie k...y, choć radzieckie córki”. Cóż, noblesse oblige.

O ile wyzwiska sięgały w strefy pogardzanych zajęć, lekceważonych pozycji społecznych, pejoratywnych określeń, o tyle złorzeczenia kierowały słowną agresję w stronę sytuacji, której bojąc się dla siebie, życzyono jej wrogowi. Zaglądając w owo zwierciadło, zobaczymy tam przenikające się kręgi doczesnych i wiecznych nieszczęść — „bodaj ci to na duszy zgorzało, bodajżeś się uniwiecz obrócić, bodaj cię Pan Bóg na dziatkach skarał” (1657); „bogdaj się nieczci doczekał, żeby go wyświecili” (1687); „bodaj cię Bóg zabił” (1697); „żeby cię piorun zabił” (1707); „bodaj tak pokapali, jako zły deszcz idzie, bodaj złych duchów zjedli, żeby ich morowe powietrze ogarnęło” (1712); „żeby to domostwo i was skrabli porwali, bo w nim nie mam szczęścia” (1766).

Słowne unicestwienie czy unieszczęśliwienie adresata posługiwało się zarówno przyzywaniem karzącego Boga, jak i całych legionów diabłów, niekiedy unikając samej nazwy lub przekraczając ją (skrabli, hrabli) dla własnego bezpieczeństwa. Życzenie zwielokrotniano przy pomocy niebagatelnej poszerzenia obstalunku: „byś sto diabłów zjadł” (1688), „bodaj sto zjadł”, „bodaj tam sto tysięcy zjadł, żeby z piekła nie wyjrzał” (1702), „bodajżeś sto tysięcy milionów zjadł” (1697). Utrwalone obyczajem przeklinanie odsłania oto istotne w świadomości powszechnej sfery lęku przed opętaniem i potępieniem. Często stosowane złorzeczenia traciły przeciw swą pierwotną grozę, mieszając się z pospolitymi wyrazami dyshonoru, gdy np. ktoś kogoś „kondlem nazywał, klnąc milionami”. Zaściankowy Maciek Mickiewiczowski radził sobie z tą inflacją, zwiększając mnożniki o wszelkie znane sobie wielkości, aby w efekcie odesłać rozmówcę „do milionów kroćset kroci tysięcy fur beczek furgonów diabłów”.

Fragment książki: „Ludzie z przedmieścia historii. Kleparzanie czasów staropolskich”, złożonej w Wydawnictwie Literackim.

Życie towarzyskie, uczuciowe i konspiracyjne

Ciąg dalszy ze str. 1

funkcje. Któregoś dnia wybraliśmy się do Łazienek — w powszednie dni bywały puste — Aleksandra Szczerbińska — Ola, Oleśka, jak ją nazywaliśmy, Stanisław Thor — Stach i ja. Na lawce przed pałacem nad stawem, Stach zaznajomił nas z celem i zadaniami PPS po rozłamie.

Ola była urodzoną bojowniczką. Ja nie miałam tego rodzaju ambicji, nie byłam odważna, ale czułam, że muszę w tej walce wziąć udział.

W swoim pamiętniku Ola napisała, że widziała mnie na placu Grzybowski, gdzie odbyła się pierwsza zbrojna manifestacja. Naprawdę to ja zamknęłam się w pokoju i nie chciałam iść.

Trzymałam się na uboczu, nie odpowiadało mi towarzysstwo działaczy. Byłam wyjątkowo pomocnicą Oli i od niej otrzymywałam polecenia.

Raz tylko znalazłam się w większej grupie osób, które przed zamachem dokonanym przez Krahelską, patrolowały Aleje Ujazdowskie, aby natychmiast dać znać, gdy Skarłoni wyjdzie z Belwederu. Przy mnie nie wyjechał.

Wyprowadziłam się z Boduena i wynajęłam małeńki pokój z utrzymaniem — blisko mojego biura. Po zgłoszeniu „Ogniska” rozkoszowałam się ciszą i samotnością. W wygodnym fotelu studiowałam Beblę — historię kobiety od pradawnych czasów aż po dzień dzisiejszy. Byłam już zaręczona. Stacha aresztowali na placu Grzybowski — siedział 3 miesiące.

Ola Piłsudska konspiruje

Ola tkwiła głęboko w konspiracji. Przychodziła do mnie często także w czasie mojej nieobecności. Zawsze coś przynosiła na przechowanie albo coś zabierała. Po powrocie do domu znajdowałam pod poduszką blaszaną pudełką — bomby, naturalnie bez zapłonu. Czasami był znow dynamit pod łóżkiem — taka spódniczka — pozaszy-

wane w płótno „kiełbaski” z dynamitu. Przywiązywało się je w pasie pod piaszczem, były bardzo ciężkie. Raz jeden paradowałam z Olą w takim rynsztunku po mieście.

Wreszcie Ola zdecydowała, że musimy zamieszkać razem. Znalezione nam slične mieszkanie przy ul. Berga — obecnie Traugutta — róg Mazowieckiej. Był tam bank prywatny. W głębi podwórza stał jednopiętrowy domek porośnięty winoroślą — z jednej strony wozownia, a z drugiej stajnia. Podwórko było czysto utrzymane, a pośródku znajdowała się studnia, z której czerpało się wodę wiadrami. Ola pracowała na Woli, a ja przy Al. Jerozolimskich. Spotykałyśmy się wieczorami. Tu w mieszkaniu rzadko przechowywałyśmy niebezpieczne rzeczy, ale jak było trzeba, to dozorca — również towarzyszył — wpuszczał bombę na sznurku do studni. Naboje upychaliśmy pod dachówkę na strychu.

Pewnego dnia, ku mojemu przerażeniu przyniesiono Olę na noszach. W składzie broni przestrzeliła sobie stopę. Na szczęście nikt huk nie słyszał. Niedaleko miała do znajomego lekarza — udało jej się przejść, nim krew zaczęła przeciekać przez obuwie. Posłano mnie na Szucha do kliniki. Lekarz mi naurgał, ale kazał przywieźć pacjentkę. Nie pamiętam, jak długo tam przeleżała.

Życie powszednie — i niepowszednie

Raz Ola zostawiła mi 2 rewolwery i 2 mauzery i kazała zawieźć do Częstochowy. Właśnie dokonano tam udanego zamachu na policmajstra. Rewidowano na dworcu. W granatowej plisowanej spódniczce i berecie wyglądałam na pensjonarkę. Kunsztownie pozawieszałam sobie broń na pasku pod spódniczką i pojechałam z duszą na ramieniu. Udało się, nikt mnie nie zaczepił, choć mauzery się przesunęły i ich drewniane kolby stuknęły o siebie i klekotały.

Zupełnie nie pamiętam, gdzie w tych wszystkich latach jadalam i co jadalam, ale były wyjątki. Kiedy w 1905 roku ogłoszono w Rosji konstytucję, cała Warszawa wyległa na ulice. Każdy tak jak stał. I szedł ten zwarty tłum w milczeniu Krakowskim Przedmieściem i Nowym Światem, jak zwykle w Aleje Ujazdowskie. Na skrzyżowaniu z Alejami Jerozolimskimi stało kilku oglupiałych kozaków na koniach — jeszcze poprzedniego dnia rozpedzali, plazowali szablami, a nawet strzelali. Wróciliśmy z Olą i Stachem po kilku godzinach — były wiecie i przemówienia — strasznie głodni i zmęczeni. Wszystko było zamknięte. Dopiero w znanej restauracji Wróbla przy Mazowieckiej zlitowali się nad nami pracownicy, którzy stali w bramie, i poczęstowali nas galaretką z nóżek cielęcych. Pieniądzy przyjąć nie chcieli. Galaretką była znakomita.

Zamieszkaliśmy znow osobno. Ja zmieniłam mieszkanie — ostatecznie znalazłam się w małeńkim pokoiku na rogu Chmielnej i Zgody.

Tu na kolację wpadał Stach. Nigdy nie było wiadomo, kiedy i czy w ogóle przyjdzie. Więc te kolacje upamiętniły mi się przez to pełne niepokojem czekanie.

Stach był wtedy bardzo zaangażowany w konspirację, wobec tego nie miałam u siebie składu broni. Ola nie przychodziła do mnie wcale, spotykałyśmy się w biurze. Często coś przynosiliśmy, albo ona dawała mi jakieś polecenie — zawiadomienie kogoś, zaniesienie adresu itp.

Ola miała wyjątkowe szczęście — nigdy nie była aresztowana, ale często cudem tego unikała. Raz szła na jakieś zebranie — na schodach usłyszała tichutkie psycanie. Nie potrzebowała szukać wytłumaczenia, zawróciła. Jakąś zupełnie obcy człowiek zauważył coś podejrzanego, domyślił się, że w mieszkaniu jest kociol i w ten sposób uprzedził.

Rewizja

Zbliżyły się święta Wielkiej Nocy 1907 r. Stach pojechał na wieś do brata. Którejś nocy usłyszałam hałas w przedpokoju — otworzyły się drzwi; zobaczyłam olbrzymiego żołdaka, w wyciągniętej ręce trzymał rewolwer, za nim wszedł drugi i ustawili się koło mojego łóżka, a tajniak, który wyrósł jak spod ziemi zabrał się do półki z książkami. Zjawił się komisarz i kazał mi wstać. Nie wiedziałam, jak się do tego zabrać. Długie włosy rozpuszczone — myłam je wieczorem — nie dawały się łatwo zebrać i upiąć, tych dwóch drabów koło łóżka, tajniak, a pokoik małeńki. Komisarz wyszedł, w drzwiach ukazał się jakiś cywil w czarnych okularach. Więc mówię: „jak mam wstawać?” wskazując na żołdatów. On odpowiada „nie zwracać uwagi, to przecież nie ludzie”, a sam wychodzi.

Wstałam i czekałam, co stanie się dalej. Wszedł komisarz i usiadł przy stoliku, żeby napisać protokół. Tajniak dał mi zabrane książki i korespondencję. Widać nie bardzo przytomnie mu odpowiadałam, bo huknął na mnie „eta ptica wowsie nas nie boitsia”, a ja się bałam, tyle że za bardzo byłam zajęta myślą, jak zawiadomić Stacha, żeby to sobie uświadomić.

Protokół został napisany, komisarz poszedł do gospodyni, a zjawił się mój opiekun, który kazał zaprowadzić mnie do komisarza. Na dworze było już widno.

W komisariacie na Nowym Świecie stała duża drewniana klatka, a w niej było pełno kobiet — prostytutki złapanych w nocy. Policjant kazał mi wejść do środka, ale mruczał przy tym „teraz już i dzieci będziemy zabierać”. Ledwo tam znalazłam stojące miejsce.

Komisarz kazał mnie zawieźć dorożką do ochrony na Daniłowiczowską.

Areszt

w eleganckim stylu

Wziewano mnie na badanie, przy biurku siedział mój opiekun przedstawił się, że nie jest żandarmem, został tylko chwilowo odkomenderowany do ochrony. Był sędzią śledczym nazywał się Litwin. Przede wszystkim kazał mi przynieść kawy i ciastko drożdżowe. Początkowo trochę się bałam korzystać z tej gościnności — może to jakiś podstęp? — ale byłam głodna, więc zjadłam. Pytał o to i o owo, ale to

była raczej towarzyska rozmowa.

Na Daniłowiczowskiej był niewielki areszt śledczy, dla tych, których poddawano wstępnym badaniom. Gdy mnie tam przyprowadzono, w celi właśnie ustawiano prycze. Za chwile zjawił się Litwin z naczelnikiem aresztu Kurakinem, aby sprawdzić, czy wszystko w porządku. Dowiedziłam się że mogę zamówić obiady w sąsiedniej restauracji i wypisać na kartce potrzebne rzeczy. Choć nic nie zabrałam z sobą z domu wieczorem, kładąc się spać, ubrałam koszulę nocną.

Ledwie zasnąłam, wezwano mnie na badanie. Żandarm nie dał się nawet ubrać — na koszulę nałożyłam piaszczek. Potem już się na noc nie rozbiierałam. U Litwina zaraz zjawiała się kawa i ciastko. Miał przed sobą protokół komisarza i zebrane moje książki i korespondencję. Dobrotliwie tłumaczył, że takie książki można czytać, są nawet interesujące, ale nie należy przetrzymywać u siebie. To była literatura propagandowa z Krakowa. Następnie podał mi paczkę korespondencji: „Niech pani wybierze to, co powinno się spalić”. Przez ostrożność podałam na początku kartki zupełnie niewinne, ale jak zobaczyłam, że pali je nad świecą — wyszukałam list rzeczywiście kompromitujący i kilka kartek. Wszystko spali! Odbywał się wtedy w Krakowie jakiś zjazd partyjny — a luzie w listach podpisy Ziuka-Piśduskiego i innych, mogłyby mnie postawić w kłopotliwym położeniu przy badaniu.

Następnej nocy powiedział mi, że powinnam zawiadomić narzeczonego, żeby nie przyjeżdżał. Naturalnie spodziewał się, że mu nie dam adresu, więc zaproponował, że wezwie mojego ojca. Na drugi dzień ojciec przyjechał wezwano mnie w dzień. Mój ojciec był państwowym urzędnikiem, profesorem gimnazjalnym — „dziejwitielnyj statskij sowietnik”. Przyjechał w gwałowym mundurze ze wszystkimi szamerowaniami i odznaczeniami. Zabrał kartkę z adresem, podziękował Litwinowi, pożegnaliśmy się i poszedł. Stach został zawiadomiony.

W nocy znow poszłam na badanie, tym razem z udziałem tajniaka, który z mną chodził przez cały miesiąc. Szczęśliwie, że ostatnio prawie nie miałam do czynienia z oronją i nie było to trudne do wyjaśnienia sprawy.

Janina Tohr

• Piszą licealiści • Piszą licealiści • Piszą licealiści • Piszą licealiści • Piszą licealiści • Piszą

Pamiętniki pisarzy: prywatność czy literatura

Natasza Janczak

W 13 numerze „Dekady Literackiej” debiutowali licealiści — analizą wiersza Ewy Lipskiej „Stół rodzinny”. Były to prace z tegorocznej okręgowej Olimpiady Języka Polskiego. Dziś znowu miejsce dla licealistki, laureatki tej samej olimpiady, która wybrała trudny temat „Dzienniki pisarzy — granice prywatności i literatury”.

Natasza Janczak jest uczennicą maturalnej klasy II Liceum Ogólnokształcącego w Bielsku-Białej.

Wielu z nas mogłoby przyznać się do tego, że w najgłębszej z szuflad ukrywa swój pamiętnik, czy dziennik, do którego dostępu broni nawet najbliższym. Zazwyczaj pisane są owe pamiętniki „bezinteresownie” — ot, zapis dnia wczorajszego, próba rozszyfrowania własnych snów, trochę marzeń, trochę wrażeń literackich i towarzyskich, czasem zapis wydatków domowych itp.

O ile zwykły „pamiętnikarz” pisze swój pamiętnik tylko dla własnej satysfakcji i poświęca go tylko sprawom prywatnym, najbardziej nawet intymnym, o tyle pisarz pisze swój dziennik z pewnego rodzaju premedytacją, w skrytości ducha licząc na to, że zostanie on opublikowany jako jeden z przyczynków do poznania jego twórczości.

Ciężar gatunkowy pamiętników pisa-

rzy jest różny — poczynając od zbeletryzowanych, raczej wspomnień, niż dzienników pisanych na bieżąco (np. „Maria i Magdalena” siostry M. Pawlikowskiej), aż po tak klasyczne i częstokroć traktowane „snobistycznie” przez czytelników, jak „Dzienniki” Gombrowicza czy Herlinga-Grudzińskiego.

Istotne różnice można również zauważyć czytając dzienniki pisarzy-mężczyzn i pisarek-kobiet; te „kobiece” przywołują atmosferę intymności, wprowadzają nas w krąg spraw codziennych, ale oglądanych z perspektywy wrażliwej autorki. Można w nich odnaleźć, obok impresji na aktualne nawiązań tematów polityczne czy literackie, także drobne odbicia dnia powszedniego, drobiazgi pozornie niewiele znaczące — ot, choćby ten piękny fragment o uratowanym motyłu, któremu poświęca kilka stron Zofia Nałkowska

Pamiętniki mężczyzn

to szansa na wyrzucenie z siebie tego, o czym przy ludziach zwykło się milczeć: własne poglądy polityczne, opinie na temat społeczności, z jakimi ma się do czynienia, rozważania na temat przeczytanych książek lub wydarzeń kulturalnych.

Najciekawszym — przynajmniej moim zdaniem — utworem tego rodzaju są „Dzienniki” Witolda Gombrowicza. Pisane z werwą, z jakimś wewnętrznym niepokojem, z odrobiną ryzyka i dużą dozą krytyki wobec otaczającego go świata — stanowią lekturę pożyteczną, do pewnego stopnia nawet

„uzdrawiającą”, stanowiącą antidotum na kanon „literatury szkolnej” i obiegowe opinie o nas, Polakach.

„Czytanie” Gombrowicza dostarcza wielu emocji, pozwala konfrontować własne przemyślenia z przemyśleniami tego, kogo Stanisław Gębala nazwał „wielkim szydercą”. I chyba właśnie owo szyderstwo, które uparcie wywłada z kart „Dzienników” Gombrowicza wzbogaca nas wewnętrznym, pozwala odciąć się od wszechobecnych konwenansów.

Krytyka literacka wczesnych lat powojennych określiła Gombrowicza mianem „wroga Polski Ludowej”, a jego „Dzienniki” wpisała na czarną listę literatury polskiej.

Wykiwanie polskiej manii

„odspiewywania «Roty» i tańczenia krakowiaka”, wymiśnianie górnolotnej i egzaltowanej miłości do „wieszczów”, burzenie polskich mitów literackich (np. słynny esej pt. „Czytając Sienkiewicza”) stanowiło zbyt silny zastrzyk trzeźwego i wolnego myślenia dla ówczesnych krytyków literackich.

Nasycone współczesnością „Dzienniki” niewielki pozostawiają autorowi margines na sprawy prywatne. Gombrowicz bał się pisać o sobie, bał się „podglądania”, o czym mówi w swych wspomnieniach tłumaczka literatury iberoamerykańskiej, Zofia Chądzińska. Sposób, w jaki Gombrowicz rozpoczyna swe „Dzienniki”, pisząc: „Poniedziałek: Ja. Wtorek: Ja” itp. jest dowodem na to, jak bardzo bał się poruszać własne, osobiste sprawy. Owo „Ja” jest wszystkim, co mógł sam o sobie napi-

Co nam zostało z „Marcowego gadania”

Ciąg dalszy ze str. 1

kają do propagandy choćby przez to, że są przedmiotem polemiki. Dzięki temu zresztą, trafiają do powszechnej świadomości (klasyczny przykład: „dyktatura ciemniaków”).

13 IX 1968

LIBERAŁ

Słowo to nabrało w PRL i w innych demoludach specyficznego znaczenia, bliskiego etymologicznej wartości słowa. W XIX wieku liberałem był zwolennik określonego programu polityczno-ekonomicznego (słownik Doroszewskiego notuje to tylko znaczenie), wolnej konkurencji, leśferyzmu. W tym użyciu słowo się zleksykalizowało. Związku z łacińskim *liber* można było już nie odczuwać. W użyciu współczesnym związek ten jest najistotniejszy: w świecie dyktatury liberałem jest ten, kto pragnie większych swobód dla społeczeństwa, niezależnie od tego, jak sobie te swobody i sposoby ich osiągnięcia wyobraża. Bynajmniej nie musi być zwolennikiem wolnej konkurencji. Słowo to oznacza więc teraz najogólniej postawę polityczną, ale nie precyzuje jej szczegółów i odcieni. Największa definicja liberała brzmiałaby tak: przeciwnik dyktatury.

15 IX 1968

GAZRURKA

W którymś z gorących dni roku 1956 stalinista Witaszewski oświadczył, że będziemy ich — intelektualistów — bić gazrurkami po głowie. Tę bojową zapowiedź towarzysza generała spopularyzowała prasa, wtedy względnie wolna, i gazrurka na zawsze przylgnęła do jego nazwiska. Nie wiem, jaki przedmiot słowo to oznacza (nie ma go w słowniku Doroszewskiego), ale to nieważne, bo w świadomości społecznej jest ono znane tylko w związku z Witaszewskim. Mówi się o nim Gazrurka-Witaszewski, tak, jak się mówi

np. Boy-Zeleński. Urosło to do rangi symbolu, symbolu stonku, jaki mają aparatczycy do inteligencji. Nie wiem, jaka jest obecnie pozycja Witaszewskiego, wiem jednak, że sformułowana przez niego idea jest realizowana praktycznie; gazrurka na intelektualistów jest w ciągłym ruchu. Nietzsche uczył filozofowania młotem, Polska Zjednoczona... filozofuje gazrurkami.

21 X 1968

ŚWIĘTY

Im komunizm staje się bardziej agresywny i dyktatorski, tym wykazuje większą skłonność do posługiwania się słownictwem sakralnym. Pisałem już kiedyś o „świętej ziemi rosyjskiej” w komunikacie o szczęśliwym lądowaniu Gagarina. W słowach tych wyrażał się jednak przede wszystkim odwieczny szowinizm internacjonalistycznego mocarstwa. „Święty” występuje jeszcze w wielu użyciach. Słyszysz się o „świętym obowiązku komunisty”, jest to jednak przypadek mało charakterystyczny, gdyż „święty obowiązek” to formuła w wysokim stopniu zleksykalizowana, częsta w mowie potocznej. W oficjalnych wypowiedziach mówi się i pisze o „świętych prawach komunisty”. W ostatnich dniach jakaś aktywistka z NRD (chciałem użyć słowa „aparaczk” w formie żeńskiej, jest to jednak językowo niemożliwe) z oburzeniem zaatakowała komunistów włoskich za to, że nie stosują się do „świętych reguł marksizmu”. Powracam do „świętego obowiązku”; słowa te były (i są) używane od 21 sierpnia ze szczególnym nasileniem. Okupację Czechosłowacji przedstawia się właśnie jako święty obowiązek.

17 XI 1968

GÓRA

Symbolika góry i dołu od wieków służy określeniu różnic między warstwami społecznymi. Demoludowy ustrój, mimo że mieni się najdemokratyczniejszym na świecie,

nie tylko jej nie zniósł, ale jeszcze bardziej upowszechnił. Mówi się o górze partyjnej, na której wierzchołku królują pierwsi sekretarz i o dolach partyjnych, które mają być posłusznym wykonawcą z góry idących rozkazów. W pewnych sytuacjach góra staje się synonimem władzy, dzieje się tak zwłaszcza w języku biurokratycznym. Opowiadano mi, że pewien urzędnik na bardzo wysokim stanowisku powiedział: „muszę zapytać się góry”, kiedy poproszono go o powzięcie decyzji w jakiejś blaższej sprawie (jest to przykład typowy, jeden z tysięcy). Dla urzędników mniejszego kalibru funkcjonariusz ten sam jest górą, a więc osobą, której się boją. On też jednak ma swoją górę, której boi się tak samo, jak tamci boją się jego. Wyraża się w tym nie tylko feudalna struktura PRL, ale coś więcej, obawa przed formułowaniem decyzji, rezygnacja z inicjatywy, przypisywanie sobie roli biernego wykonawcy. Tylko przecież bierny, posłuszny wykonawca może liczyć na utrzymanie zdobytych pozycji, pomysłowość i inicjatywa może obrócić się przeciwko niemu. Każdy ma swoją górę, każdy ma tych, których nazywa „oni”.

3 XII 1968

TEREN

Słowo to od dawna ma w polszczyźnie różne znaczenia metaforyczne. PRL sowiecie je poszerzyła. W tym użyciu, o które mi chodzi, ma ono charakter dość względny. Nie można powiedzieć raz na zawsze, co ono oznacza i jaki ma zakres. Gdy powie się o jakimś pracowniku, że jest w terenie, znaczy to, że w danym dniu wykonuje swe obowiązki służbowe poza właściwym miejscem pracy. Gdy mówiło się w okresie stalinowskim o literatach wyjeżdżających w teren, informowało się, że opuścili Warszawę i udali się np. do jakiegoś małego miasteczka, przede wszystkim zaś — na tzw. budowy socjalizmu. Teren ma jeszcze inne zabarwienie, które najlepiej wyraża się w formule „przenosić

w teren” (por. „przenosić”). Teren jest tu więc nie tyle miejscem, co zespołem ludzi, których zadaniem i przeznaczeniem jest wykonywanie uchwał, dyrektyw, rozkazów. W tym sensie terenem jest cała Polska, całe społeczeństwo (oznacza on bowiem nie tylko przestrzeń, ale także — powtarzam — zespół ludzi znajdujący się na danej przestrzeni). Funkcjonuje tu przeciwstawienie o podstawowej wadze: miejsce, w którym koncentruje się władza — teren (miejsce to jest może odpowiednikiem symbolicznego środka w religiach pierwotnych, o którym pisał Eliade). Zgodnie z tym przeciwstawieniem, terenem nie można nazwać tylko jednego punktu w całym kraju, gmachu na skrzyżowaniu Alej Jeruzolimskich i Nowego Świata, gmachu, który zwykle się nazywa białym domem.

3 XII 1968

KONTROWERSYJNY

Jeszcze do niedawna słowo to było niemal nie znane potocznej polszczyźnie. Dopiero ostatnio rozpowszechniło się w środkach masowego przekazu. Mianem kontrowersyjnego może być określone właściwie wszystko, co nie wchodzi w obręb podstawowych komunałów marksistowskich, choćby samo nawet było komunałem, ale z innej parafii. Toteż już nawet dziwić się nie można, że w ten sposób kwalifikuje się rzeczy, idee, poglądy, dzieła, które należą do sfery oczywistości lub — w przypadku książek — do dziedziny wartości powszechnie aprobowanych. Propagandysta nazywa „kontrowersyjnymi” te zjawiska, wobec których partia nie wyraziła jeszcze na obecnym etapie swojego stanowiska. Nie wie on więc, po jakiej stronie ma je umieścić; czy zakwalifikować jako słuszne czy niesłuszne. Sprawy kontrowersyjne znajdują się na obszarze ciemności i niewykryształizowania. Ekspansja tego przymiotnika jest wysoce charakterystyczna — świadczy o dalszym ograniczeniu swobód. W normalnej sytuacji za kontrower-

syjne uznać można rzeczy budzące rzeczywiste polemiki, a więc np. efektywna, ale nie w pełni dowiedziona teoria naukowa czy dzieło artystyczne, które prowokuje krańcowe reakcje, od namiętnej aprobacji do równie namiętnej potępienia. Teraz kontrowersyjne stały się nawet banały i oczywistości, mimo że rozsądni ludzie nie mają ochoty o nie się spierać.

5 XII 1968

ZACIEKLY, ZAJADLY

Te przymiotniki mają charakter synonimiczny, propaganda używa ich wymiennie. Czyni to z upodobaniem. Zaciekli bądź zajadli są ci wszyscy, którzy z takich czy innych względów nie podobają się władzom, a więc syjonisci, rewizjonisci, antykomuniści, imperialiści. Przymiotniki te odnoszą się nie tylko do osób, także do czynności i — w mniejszym stopniu — wytworów. Czytać więc można o zaciekłym wobec Polski (socjalizmu, pokoju itp.) artykule (bądź części, wystąpieniu) jakiegoś polityka amerykańskiego. Przed paru laty spotkać można było formułę „zaciekli (zajadli) antysemita”. Teraz jest to już niemożliwe, mimo że otwarcie antysemityzmu się nie chwali. Wrogowie są zaciekli bądź zajadli, przyjaciele — piomnienni, oddani sprawie, zapaleny („Guevarra — piomnienny rewolucjonista”). Takie ukształtowały się antonimy.

7 XII 1968

MERYTORYCZNY

Przymiotnik ten nabrał w języku partyjnym dość osobliwego znaczenia. Dokonać merytorycznej oceny danego człowieka to bynajmniej nie poddać analizie jego kwalifikacje moralne czy zawodowe. Przedmiotem zainteresowania jest tu wyłącznie stopień lojalności wobec reżimu. W przypadku pracownika naukowego rada wydziału, dyrektora, profesorowie dokonać mogą oceny zawodowej, oceną merytoryczną przysługuje partii.

11 XII 1968

Michał Głowiński

Piszq licealiści • Piszq licealiści • • Piszq licealiści • Piszq licealiści • Piszq licealiści • Piszq •

sać. Wszystko za to mówią o nim jego powieści i dramaty.

Osobliwym rodzajem pamiętnika Gombrowicza (osobliwym, bo nadzwyczaj szczerym) jest wydany niedawno przez Res Publicę „Testament”. To w nim znajdujemy dopełnienie wiadomości o tym, w jaki sposób powstawały jego utwory i czym one są dla niego. W jednym z rozdziałów „Testamentu” poświęconego „Ferdynurce” pisze: „Niech utwór stanie się mną! Niech mną wyraża”.

Trzeba przyznać, że zarówno „Dzienniki”, „Testament”, jak i inne utwory Gombrowicza spełniły to marzenie. Nie znajdziemy u Gombrowicza świadectw procesu tworzenia: nie ma w „Dziennikach” żadnych szkiców, czy „brudnopisów” dla jego powieści, żadnych „planów powieści”. „Dzienniki” były pisane „obok” innych utworów literackich i stanowią dla Gombrowicza raczej szansę na „wypisanie się”, niż są świadectwem jego pracy. Oczywiście, znajdziemy w nich wzmianki o „Trans-Atlantyku” czy „Kosmosie”, ale jako swoiste „reminiscencje faktów dokonanych”.

Odwrotnie jest u Jerzego Andrzejewskiego, którego fragment dziennika umieszczony na końcu powieści „Papiół i diament” stanowi ściśle

sprawozdanie z przebiegu procesu twórczości.

Pod kolejnymi datami możemy odnaleźć uwagi typu „Dzisiaj napisałem

jeden rozdział” lub „Nie napisałem nic”. Jest to zupełnie inny typ dziennika, dotyczący raczej „prywatności zawodowej”.

Lata powojenne przyniosły rozkwit twórczości pamiętnikarskiej: to, czego nie można było powiedzieć na głos w latach pięćdziesiątych należało jednak zapisać. W ten sposób powstał

„Dziennik 1954” Leopolda Tyrmanda

Wspomnienie Warszawy z tamtych lat przynosi obraz czasów stalinowskich, świat, który pokazuje nam Tyrmand stanowi rodzaj bagna, zatechłego bagna, z którego nie można się wydostać. I ten dziennik już w założeniu nie miał być obrazem prywatnego życia autora (choćż mamy jego dość dokładny opis w „Dzienniku”), ale krytyką tamtych lat i tamtego świata.

Z podobnych przesłanek powstał „Dziennik pisany nocą, 1971—72” Herlinga-Grudzińskiego. Tytuł tego dziennika jest nadzwyczaj charakterystyczny — to, o czym pisze Herling nocą, za dnia uznawane było za obrazoburcze, „antyjęzyczne”, ze wszech miar „złe i niemoralne”.

„Dziennik pisany nocą” poddaje krytyce okres tzw. „propagandy sukcesu”, rozbija mit o państwo wolnym i demokratycznym. I podobnie jak Gombrowicz, pozostawia sobie Herling-Grudziński niewielki margines prywatności.

Dzienniki Tyrmanda i Herlinga-Grudzińskiego do pewnego stopnia stano-

przykład „literatury faktu”

bo tylko fakty, acz poddane próbie interpretacji stanowią treść tych dzienników.

Z innej perspektywy spogląda na los człowieka poddanego „wichrom historii” Miron Białoszewski w swym „Pamiętniku z Powstania Warszawskiego”. Jak wiele uwagi poświęca „drobiazgom”! Woda, cukier, filiżanki, sen, głód, choroby i rozmowy, rozmowy, rozmowy... Jest to inna perspektywa, skierowana w stronę prywatności takiej, o jakiej mógł myśleć człowiek w czasie wojny. Ale ten „Pamiętnik” nie był pisany „do szuflady” — miał on stanowić swego rodzaju próbę ogniową dla nowego, trudnego rodzaju prozy, którą proponuje czytelnikom Białoszewski. „Pieśń Marszałkowskiej” opiewał Marszałkowską wojenną, powstającą, taką, której nie można zapomnieć...

Z innej perspektywy niż na pamiętniki pisarzy należy spoglądać na

pamiętniki pisarek.

Jak już wspomniałam, emanują one innym nastrojem niż pamiętniki mężczyzn. Chciałabym tutaj przypomnieć wzruszającą prozę Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, pisaną gdy jej autor-

ka była na emigracji w Anglii. Jak wiele mówią o tragicznej tęsknocie Marii opisy liści, kwiatów, morza — o ileż więcej, niż powiedziałyby tradycyjnie datowane kartki ze zwykłego pamiętnika.

Podobną sytuację przywołuje „Oda do rąk” Haliny Poświatowskiej. Czyż powstała piękniejsza „Kartka z pamiętnika”, niż ta, przepelniona tak krystalicznym smutkiem? Dlatego jestem skłonna zaryzykować stwierdzenie, że zamiast wielu tomów opasłych pamiętników większą wartość „pamiętnikarską” mają małe utwory prozatorskie Marii Pawlikowskiej lub wiersze Poświatowskiej. Składają się one na bardzo prywatny „pamiętnik duszy”, którego napisanie takim strachem napawało Gombrowicza.

Pamiętnik to gatunek trudny do zdefiniowania. Czasem jedno słowo powie nam więcej o autorze niż kilka grubych tomów, opatrzonych datami. A chyba najtrudniejszym rodzajem pamiętnika jest „pamiętnik duszy”, jaki stworzyła Jasnorzewska lub Poświatowska; wszak łatwiej opisać rzeczywistość, w jakiej żyjemy niż szczerze mówić o sobie.

Dlaczego koń nie stał się człowiekiem?

Marcin Ciupek

Mało jest na świecie literatur, które czerpałyby tak obficie ze swojej tradycji, jak czyni to współczesna literatura rosyjska. Zakochana w swych mistrzach z XIX i początku XX w., ustawicznie powraca do ich pomysłów i wzorców stylistycznych. Należy jednak pamiętać, że ta specyfika kulturowa ma swe źródło w sytuacji politycznej Rosji; mało jest też bowiem krajów, w których tak niewiele by się zmieniło w ciągu 100 lat...

Władimir Wojnowicz (ur. 1932) należy do tych pisarzy, którzy ze szczególnym upodobaniem odwołują się do rosyjskiej literatury satyrycznej i groteskowej. Upodobanie to sytuuje Wojnowicza w tradycji takich twórców jak Gogol czy Bułhakow, przy czym ten ostatni w bardzo wyraźny sposób patronuje twórczości autora „Życia i niezwykle przygodzie żołnierza Iwana Członkina”. Obaj z równie wielką pasją satyryczną, a i pewnie również wielkim talentem pisarskim zmierzali się z absurdem, głupotą i „niereczywistością” egzystencji w Rosji sowieckiej.

Wojnowicz, autor takich książek jak „Czapka” czy „Iwanikiada” zabrał w swej chęci demistyfikowania sowieckiego ustroju na tyle daleko, że w 1980 roku został zmuszony do opuszczenia ojczyzny

i udania się do Niemiec. W połowie lat 70. ukazała się na Zachodzie najwybitniejsza powieść Wojnowicza „Życie i niezwykle przygodzie Iwana Członkina”. Polski czytelnik mógł zapoznać się z nią już w 1984 roku, kiedy to książkę opublikowała NOW-a. Mały nakład sprawił jednak, że dopiero dziś opowieść o Iwanie Członkinie ma szansę wejść do obiegu czytelniczego.

Est to opowieść niezwykła i to niezwykła z wielu powodów. Po pierwsze, ukazuje sowiecką rzeczywistość roku 1941 w niewielkim tylko wycinku, mianowicie przez pryzmat życia w jednej wsi — Krasnoje.

Wojnowicz nie przedstawia monumentalnej, syntetycznej wizji systemu totalitarnego, jak to czynili Sołżenicyn czy Bukowski. Nie ukazuje mechanizmów władzy na wysokich jej szczeblach, jak Rybakow czy Heller. Jego ujęcie tematu jest zupełnie inne.

Otóż Wojnowicz przedstawia nam ustrój od strony społeczeństwa — gotowego, ukształtowanego już produktu rzeczowego ustroju. Na plan pierwszy wysuwa się więc nie sekretarz partii (choć i on się pojawia), nie wysoko postawiony oficer służby bezpieczeństwa, ale zwyczajny „homo sovieticus”, którego zachowanie, obyczaje i język mó-

wią o systemie więcej niż jakakolwiek, nawet wielotomowa, jego historia.

Po drugie, powieść Wojnowicza, poruszająca tematykę Wielkiej Wojny Ojczyźnianej (rzecz dzieje się tuż przed oraz zaraz po wybuchu wojny z Niemcami), jest bardzo wyraźną polemiką z całym martyrologiczno-heroicznym nurtem literatury rosyjskiej, traktującej o tych wydarzeniach. Wojnowicz na przekór tej zużytej dziś do szczytu tradycji (zapewne już nikt jej nie wskrzesi), kreuje na głównego bohatera żołnierza-ofermę, żołnierza-chłopca na posyłki, żołnierza-kuchę, słowem antybohatera.

Iwan Członkin, prosty chłop, o bardzo wąskich horyzontach i niewielkich ambicjach nie jest najlepszym kandydatem na „gieroję” Armii Czerwonej. Poza tym jego nieznośny chłopski, zdrowy rozsądek wciąż każe mu wątpić w zasadność otaczającego porządku, w którym głupota i absurd odgrywają zasadnicze role. Jednakże głębokie zakorzenie w społeczności sowieckiej oraz strach nie pozwalają mu na formułowanie tych wątpliwości. Członkin wierzący głęboko w pojęcie obowiązku żołnierskiego, zrobi wszystko, aby wytrwać na wyznaczonym posterunku. Weźmie do niewoli nawet opie-

rajający się mu... patrol NKWD. Szczerą prostotą Członkina, przeciwstawiona zakłamaniu systemu sowieckiego, to antynomia, na której opiera się zasadnicza konstrukcja powieści. Wokół niej rozgrywa się wszystkie wydarzenia fabuły, wszystkie groteskowe, dziwne i nieprawdopodobne sytuacje. I to jeszcze jeden wyróżnik niezwykłości tej powieści.

Trzeba przyznać, iż zdolność gromadzenia i spiętrzania absurdalnych zdarzeń, funkcjonujących na zasadzie „komedii omyłek”, posiadał Wojnowicz w stopniu najwyższym. Dlatego usprawiedliwione było porównanie go z Bułhakowem.

Od swego mistrza przejął Wojnowicz umiejętność konstruowania wątków onirycznych. Sny Iwana Członkina (szczególnie sen o weselu Niury z wieprzem) wzorowane są na snach opisywanych w „Mistrzu i Małgorzacie” — ich poetyka wydaje się pokrewna. W każdym razie zarówno Bułhakow, jak i Wojnowicz wprowadzili je, aby wzmocnić wymowę pewnych elementów akcji na jawie.

Talent satyryka-prześmiwcy, sarkastycznego obserwatora życia, odziedziczył Wojnowicz z kolei po Gogolu. Podobnie jak autor „Revizora”, został obdarzony zupełną wyjątko-

wym darem obserwacji, dzięki któremu mógł wydobyc na powierzchnię samą esencję rzeczywistości, jej najbardziej charakterystyczne wyznaczniki.

Wojnowicz obserwuje i natychmiast tworzy ze swej obserwacji humorystyczną sytuację. Świat otaczający Członkina jest światem absurdu zrodzonego z niewiedzy. Wszędzie szczyry się dezinformacja, rodzą plotki, mity, powstają pomyłki. Cały ten chaos znakomicie obrazuje jak ciąg następujących po sobie przekłamań wynikłych z głupoty, braku dobrej woli czy ze strachu, może doprowadzić do nonsensownego zakończenia.

Wojnowicz z lubością szkicuje ten przedziwny światek rosyjskiej fikcji, w którym płaci się podatki „z tytułu dobrowolnego opodatkowania się”, w którym żołnierz Armii Czerwonej nie wie, że butelki z płynem zapalającym trzeba... zapalić przed rzutem, w którym wreszcie największym problemem wiejskiego, dorosłego naukowca staje się pytanie: dlaczego koń, mimo że w przyrodzie zachodzi ewolucja, nie stał się człowiekiem?

W świecie tym nie ma miejsca na logikę i zdrowy rozsądek, gdyż podważałyby one rację istnienia całego systemu. I to właśnie powoduje, że i dla Członkina nie ma w nim miejsca.

WŁADIMIR WOJNOWICZ: „Życie i niezwykle przygodzie żołnierza Iwana Członkina”. Przełożył Wiktor Dłuski. „Verba” Chotomów 1990, wyd. III.

Z życia wyższych sfer PRL

Helena Lazar

Józef Tejchma, były prominent PZPR, zdecydował się poddać pod osąd czytelników swe notatki z lat 1974—1977, gdy był ministrem kultury i równocześnie członkiem Biura Politycznego PZPR. Takich prominentnych wspomnień, wynurzeń ukazało się ostatnio sporo: Gierek, Urban, Rakowski, Sokorski — teraz dołączają do nich Tejchma. Jak zaznacza w postłowie do swych notatek, nie poprawiał i nie ulepszał ich z perspektywy upływu czasu.

Niewątpliwie tą książką Józef Tejchma przypomni o sobie. Nie chce być niesprawiedliwa, ale sądzę, że gdyby dzisiaj zapytać, zwłaszcza młode pokolenia — kto to jest Tejchma, niczego by o nim nie wiedzieli. Ani dobrego, ani złego. Nawet dla mego pokolenia spora część działalności politycznej Tejchmy zatarła się w pamięci.

A przecież Józef Tejchma był przez długie lata na samych wyżynach władzy partyjno-rządowej. Miał 40 lat, gdy po wydarzeniach marcowych, wraz z Olszowskim, awansował na członka Biura Politycznego, a wcześniej, bo od 1964 roku, był członkiem Komitetu Centralnego PZPR.

Józef Tejchma jest prawie rówieśnikiem Jana Józefa Lipskiego; prawie, bowiem Lipski jest o rok starszy. Dwie osoby i dwa różne zyciorysy. Każdy z nich opublikował

książkę o najnowszej historii PRL: Jan Józef Lipski w 1983 roku (za granicą, w londyńskim „Aneksie”) historię KOR; Józef Tejchma, dziś „Kulisy dymisji” (oczywiście „KOR” Lipskiego opisuje dłuższy okres). W zapiskach Józefa Tejchmy — ministra kultury i członka Biura Politycznego PZPR — są tylko ślady, odpryski istnienia silnej już wówczas opozycji politycznej. Na przykład zapis z 8 grudnia 1976 roku: Zdezerwowany szef kinematografii zaprosił mnie na pokaz filmu Zanussiego „Barwy ochronne”, aby zdecydować, czy można go dać na ekrany, bo epizodyczną rolę gra w nim Halina Mikołajska, członek KOR. Są oczywiście opisane dni przygotowań do podwyżki cen, ale Radom już jest jakby pomniejszony.

Pozorność swej władzy, odebranie od rzeczywistości i jej „niereczywistości” (o kłopotach Kazimierza Brandysa z książką pod tym tytułem jest także słów kilka) — tego minister zdawał się być świadom. W końcu w 1977 roku zrezygnował z ministerialnego stołka. Choć, jak wynika z notatek, bardziej go do rezygnacji sprowokowało mianowanie na jego zastępcę Janusza Wilhelmiego. Nie odszedł jednak całkowicie — dalej był członkiem Biura Politycznego.

Nie bez powodu przywołałam nazwisko Jana Józefa Lipskiego i jego książkę, bowiem dobrze jest ją znać, gdy czyta się zapiski Józefa Tejchmy. Nasunie się może banalne, ale ważne pytanie: jak to się stało, co zdecydowało, że jedni, a było ich z czasem coraz więcej: widzieli, wiedzieli, i działali, by zmienić zło tkwiące w socjalizmie. Inni zaś tkwili w nim, pracowali dla jego utrzymania, wykonywali istotne lub pozorne ruchy mające system utrzymać.

W „Kulisach dymisji” odsłania Tejchma sporo szczegółów, zapisanych jednak w takim pomieszaniu spraw ważnych i nie, że jest to w czytaniu monotonna. Czasami po prostu przewracałam kilka kartek, by natrafić na interesujący mnie nowy wątek.

Dzienniki ministra odsłaniają mierność umysłową ekipy Gierka i Jaroszewicza (także władców z różnych krajów realnego socjalizmu). O tym wiedzą już wszyscy. Od dawna. Czasami jednak..., ale zacytujmy:

3 stycznia 1976 roku. Już drugi raz po Nowym Roku spędzonym przez Jaroszewicza i Gierka w Artamowie otrzymuję od szefa rządu uwagi o kulturze na tle świątecznego programu telewizyjnego. Teraz długie pieklenie się wywołał występ „jakiegoś byka, który mógłby budować bloki mieszkalne”, a wyje w telewizji. Trzeba ograniczyć szkolnictwo muzyczne, bo psuje młodzież, pobudzając nierealne aspira-

cje. Ograniczenie tego szkolnictwa jest jedną z rezerw naszej gospodarki. Dość nikły wynik dziesięciodniowego pobytu w Artamowie.

7—11 kwiecień 1976 roku: Premier prosił o zorientowanie się, czy gdzieś istnieje taka skandaliczna sytuacja jak w Polsce, że państwo nie ma prawa bez zgody reżysera ciąć taśmy filmowej według swego uznania. Pytał, jak to wygląda w Czechosłowacji?

Dość, wystarczy... Takich notatek jest sporo i właściwie jest to uwaga do całej książki, — mało te notatki naprawdę wyjaśniają. Poza tym, że dziś mogą wywołać uśmiešek — nadal wieje grozą. Choć z drugiej strony, dla badaczy tych lat jest w książce Tejchmy sporo faktów, facykików, drobiazgów, które po weryfika-

cji mogą uzupełnić wiedzę o PRL, o „ONYCH” z tamtych lat.

Sporo także przewija się na kartach dziennika nazwiska ludzi kultury, nauki, z samego Parnasu także. W różnym świetle, różnym kontekście. A to temu panu minister miał załatwić samochód, tamtej osobie — mieszkanie, jeszcze innej — obniżenie podatku. Czasami, gdy chciał, mógł, (?) pomagał, ułatwiał. Są nazwiska. Są sprawy. Jest także o podgryzaniu, glerkach w KC, personalnych rozgrywkach na szczytach. To wszystko jest,

A mimo to, taka ilość faktów nie przeszła w nową jakość. Pozostaje ta książka zbiorem różnych klocków, które wzięte razem nie wyjaśniają istoty systemu, mechanizmów podejmowania decyzji itp.

Autor próbuje także w postłowie wytłumaczyć się z zarzutów: dlaczego, mimo iż wiedział — dalej tkwił? Ale słabo to brzmi. Może Józef Tejchma po prostu lubił władzę? Bo przecież wrócił i był ministrem kultury jeszcze raz w latach 1980—1982.

JÓZEF TEJCHMA: Kulisy dymisji. Z dzienników ministra kultury 1974—1977. Oficyna Cracovia, 1991 r.

Konkurs na wiersz o Krakowie

Dworek Białoprądnicki pod patronatem dyrektora Wydziału Kultury UM Krakowa ogłasza konkurs otwarty na wiersz o Krakowie. W konkursie mogą wziąć udział twórcy nie posiadający samodzielnej publikacji książkowej. Prace (maksimum 10 wierszy) w 3 egzemplarzach, opatrzone gołdem z dołączoną kopertą zawierającą imię, nazwisko, adres i ew. numer telefonu należy nadsyłać do dnia 20 maja 1991 r. pod adresem: Dworek Białoprądnicki, ul. Papiernicza 2, 31-221 Kraków, z dopiskiem „Wiersz o Krakowie”. Nagrody i wyróżnienia w łącznej kwocie 1 mln zł rozdzieli jury w składzie: Elżbieta Zechenter-Splawińska, Stanisław Balbus, Robert Adamczak — sekretarz jury. Ogłoszenie wyników nastąpi 10 czerwca, o godz. 18 w Dworku Białoprądnickim.

Milczące sejfy Szwajcarii (VIII)

Jean Ziegler

W nie wydanej dotąd w Polsce, a głośnej na Zachodzie reporterskiej książce „Milczący sejfy” J. Ziegler udowadnia tezę, że większość tzw. brudnego szmalu, pochodzącego z międzynarodowego handlu narkotykami — „pierze się” w czystych z pozoru szwajcarskich bankach. Całość — tłumaczona przez Stanisława Mędaka — ukaże się nakładem Wydawnictwa Literackiego.

Sumare jest najwyżej położoną dzielnicą (bairro) starożytnego, kolonialnego przedmieścia Santa Tereza. To właśnie tutaj, na szczytach wzgórz pokrytych bujną dżunglą, handlowcy, armatorzy, gubernatorzy, wielcy właściciele plantacji kawy i opaci zbudowali swe wystawne domostwa z kolumnami. To swoista oaza w porównaniu z dolną częścią miasta, w której egzystencja podczas letnich upałów jest prawie nie do zniesienia.

Dzisiejsza Sumare to labirynt leśnych dróg, podziurawionych ulic, walących się domostw i podejrzanych hoteli. Za zardzewiałymi ogrodzeniami, w parkach porośniętych mchem, z roztrzaskanymi przez pioruny stuletnimi drzewami, spotkać można dworki pokryte czerwona dachówka.

Pod pierwszym łukiem akweduktu Santa Tereza kierowcy taksówek odmawiają kursu w kierunku dżungli Sumare. Jedynie świeżo upieczony emigrant z Portugalii zgadza się jechać. Po 45 minutach jazdy starym volkswagenem udaje się nam dotrzeć na miejsce. Zatrzymujemy się przed posterunkiem z uzbrojonymi strażnikami, na samej górze Sumare. „A casa do cardeal” (dom kardynała) — mówi do mnie z dumą ten mały, krępy i ciągle uśmiechnięty Portugalczyk.

Don Eugenio Sales, kardynał — arcybiskup Rio de Janeiro i prymas Brazylii, dawno już opuścił ten stary pałac o eleganckich białych kolumnach i fasadzie zwróconej w kierunku zatoki, wzniesiony na prawie pionowej, zwisającej nad portem i dzielnicą handlową skałe. Przeniósł się do funkcjonalnego i klimatyzowanego domu znajdującego się w centrum miasta. Obecnie pałac ten jest zamieszkały przez kler, ogrodników i uzbrojonych strażników, jak również przez mojego przyjaciela, Josepha Romera, biskupa pomocniczego i czołowego teologa prymasa.

Ten sługa boży, ponury, zdyscyplinowany, wszechmocny reakcjonista, jest moim zupełnym przeciwnikiem. Jego wargi poruszają się pod ścisłą kontrolą bezustannie pracującego umysłu. Obserwuje on swego rozmówcę bez przerwy po to, by wyczuć każdą jego najmniejszą słabość, by wykorzystać każde niedociągnięcie. Nosi cywilne ubranie w kolorze czarnym, spodnie o nieskazitelnych kantach, metalowy krzyżyk wpięty w klape marynarki. Do swej piersi kurczowo przyciska mszał w złoczonej oprawie, z licznymi wstążkami koloru czerwonego, żółtego i zielonego.

Zbliża się do pięćdziesiątki i ma nietypową biografię. Urodził się w wiejskiej rodzinie zwykłych, biednych urzędników w kantonie Saint-Gall (Szwajcaria Wschodnia). Jako seminarzysta osiąga wyjątkowe rezultaty w nauce. Jego niezwykła przenikliwość umysłu i inteligencja wprawiają w zakłopotanie ponure służby boże kościoła Saint-Gall. Opatrzność zsyła pomoc. Podczas żarliwych obrad II Soboru Watykańskiego biskup Saint-Gall zasiada u boku prymasa Brazylii. Prymas Brazylii prosi biskupa o oddelegowanie teologa-erudyty, który miałby za zadanie zwalczanie trendów marksistowskich, wkradających się do Kościoła brazylijskiego. Tak więc biskup z Saint-Gall z nieukrywana radością pozbiera się zbytnie inteligentnego opata Romero. Wkrótce Romero stanie się szarą eminencją, autorytetem uznanym w większości krajów katolickich świata. Żyje ubogo jak franciszkanin (choć nim nie jest). Dusza Romero przepelniona jest buntem. Nie uznaje żadnej tolerancji wobec nędzy, korupcji, udreżania biednych. Upokorzenie — to odczucie nie jest mu obce, bowiem doświadczył go na własnej skórze w okresie pobytu w Saint-Gall. Wielka, prawdziwa miłość do człowieka ma niezwykle wpływ na działalność i sposób myślenia tego skrajnego konserwatyście, erudyty, człowieka błyskotliwego, a jednocześnie upartego i głęboko

wierzącego. Jego zdaniem istnieje tylko jedno wyjście: odrodzenie moralne może nastąpić jedynie poprzez podporządkowanie się prawom i nakazom boskim, których administratorem na tej ziemi jest polski papież.

Siedzimy na starych, drewnianych, pomalowanych na biało fotelach pod wspaniałym mangowcem w ogrodzie Sumare. Sina, delikatna mgielka pokrywa plażę Niteroi i zatokę Guanabara. Trzysta metrów niżej, u stóp skalistej ściany, która pionowo spada w kierunku portu, rozciąga się dolna część miasta i morze; pojawiają się pierwsze światła i pojedyncze gwiazdy, które rodzą się o zmierzchu. Tutaj, pomiędzy mieczkami i ketniami, białymi liliami i świeżo zroszonymi trawnikami, jest jeszcze dzień. Przez otwarte okna kuchenne ulatnia się zapach racuchów smażonych na oleju słonecznikowym. W rytm wiatru kołyszą się liście ketn. Jest piątek, 25 lipca 1989 roku.

Joseph Romer opowiada o zniszczeniach dokonywanych przez narkotyki. Najwięksi handlarze narkotyków Peru i Kolumbii, ich prywatna milicja, ich bankierzy są u władzy. Kokaina transportowana jest do wielkich miast wybrzeża przez granicę na Amazonce, która oddziela Brazylię od tych krajów. Doprowadza do tragedii i zabija tysiące ludzi, a w ręce polityków, wojskowych i lokalnych bandziorów trafiają pochodzące z korupcji fortuny. Z enigmatycznym uśmiechem i kontrolowanym spojrzeniem Romer kieruje do mnie te słowa: „Nawet Kościół nie uchroni się przed tą plagą. Ostatnio musiałem udać się do Genewy”.

W kilka dni potem spożywam posiłek w restauracji Faro na Avenida Atlantica w Copacabana z Dalva, pracownicą pomocy społecznej z parafii Santa Cruz. Parafia ta, najbardziej zaludniona z całego Rio, służy wiernym zarówno z luksusowych, burżuazyjnych i bogatych dzielnic Siqueira Campos i Figueiredo de Maghalaens, jak również wiernym z olbrzymiej dzielnicy nędzy, położonej w górskich, skalistych partiach Cabritos.

Dalva jest ponura, smutna. Z trudem je swoją *peixe dorado* (gatunek ryby — przyp. tl.). Nigdy nie widziałem jej w takim stanie. Niepokoi mnie to. Zwraca się do mnie tymi słowami: „Obecnie już nawet dzieci, chłopcy i dziewczynki w wieku 12—14 lat wykańczają się wzajemnie, mordując jedno drugiego. Stały się tak zwanymi *aviao*”.

Przywódcy handlu narkotykami opanowali przedmieścia i ubogie dzielnice, gdzie rozdają za darmo młodym ludziom kokainę... jedynie przez pewien czas. Bieda i głód królują w środowisku młodzieżowym. Ci, którzy zdążyli uzależnić się od narkotyków, zrobią wszystko, by zdobyć kolejną dawkę, by chociaż na chwilę zapomnieć o głodzie i rozpaczliwej sytuacji. Raz uzależnieni, będą wykorzystywani przez szefów do transportu kokainy, pieniędzy i broni w wielkiej metropolii. Niektórzy z nich, ci najbardziej brutalni, w wieku 12—13 lat pełnią funkcję kapo i strażników. Czasami wykonują egzekucje na swych kolegach.

Co małe dzieci konwojenci nie zapominają o swych równie wygłodzonych rodzinach. Przenosząc tydziele nowych *cruzaos*, ukrytych pod brudnymi koszulami, częstokroć decydują się na „małą pożyczkę” po to, by kupić chleb czy też torbę ryżu dla najbliższych. Za to są surowo karani przez kapo.

„Nie tak dawno byli jeszcze w ochronce. Teraz ci mali mężczyźni dają się zabijać”. Dalva spokojnym głosem wlicza nazwiska ofiar, które odnaleziono z roztrzaskanymi kulą głowanymi, z poparzonymi twarzami, w parowie przecinającym dzielnicę nędzy „dos Cabritos”.

Do Genewy wracam 16 sierpnia. Następnego dnia po moim powrocie „Tri-

bune de Geneve” publikuje artykuł, którego tytuł „Narkodolarowa siatka brazylijska rozpracowana w Genewie” wydrukowany jest na prawie całej stronie.

To „rozpracowanie” siatki ma swoją długą historię. Od dwóch lat amerykańska DEA i włoska Guardia di Finanza śledzą działalność siatki brazylijskiej. W 1987 roku siatka została częściowo rozpracowana. Sędziowie śledczy mają nadzieję (nie spełnioną jednak), że dotrą aż do jądra siatki, nie ujawniają faktów.

Grudzień 1987 rok: na międzynarodowym lotnisku Cointrin w Genewie samolot szwajcarskich linii lotniczych przylatujący z Rio de Janeiro ma pewne problemy. Bagażnik samolotu, w którym znajdują się walizki pasażerów, nie chce się otworzyć. Pracownicy Swissair niosą adresy pasażerów i składają przysiężenie, że zablokowane bagaże zostaną dostarczone pasażerom jeszcze w tym samym dniu. Między pasażerami spotykamy siedemdziesięciosiedmioletniego duchownego, proboszcza jednej z parafii Rio de Janeiro, który kieruje swe kroki do małego hoteliku w genewskiej dzielnicy des Paquis. Duchowny ten nosi piękne imię: Lino Christ.

W kilka godzin później dwóch inspektorów służby bezpieczeństwa zjawia się w hotelowym pokoju duchownego. Zakładają mu na ręce kajdanki. Ten dobrodziej jest jednym z doświadczonego pośredników siatki brazylijskiej. Jego walizki, które zawierają 9 kilogramów czystej kokainy, wycenione zostały na sumę sięgającą prawie jednego miliona dolarów.

W ciągu tygodnia zatrzymano jeszcze pięćdziesięciu przemytników. Wiosną 1988 roku zostaną oni skazani na kary więzienia w wymiarze od 10 do 15 lat.

Czytając artykuł przypominam sobie dziwne zdanie, które padło z ust biskupa Josepha Romera. Dowiaduję się, że biskup pojechał do więzienia Champ-Dollon, by modlić się i odprawić mszę za zblakany, niemniej wiernym sługą bożym, Lino Christem.

Przez wiele lat brazylijska siatka funkcjonowała bez jakichkolwiek trudności, według klasycznego wzorca. Narkotyki dostarczane były na teren Genewy drogą lotniczą, poprzez „tury-

stów” z Ameryki Łacińskiej. Stąd docierały do Mediolanu i sprzedawane były w północnych Włoszech, we Francji i RFN. Inni „turyści” brazylijscy przywozili do Szwajcarii walizy wypchane lirami, frankami francuskimi i markami zachodniemieckimi.

Siatka ta miała swój ulubiony kantor wymiany waluty w banku Migros w Genewie przy ulicy Mont-Blanc 16. Przez dwa lata w tym właśnie kantorze konwojenci opróżniali swe walizy. Dwa razy w ciągu tygodnia wymieniano tutaj sumy, równe wartości 500.000 franków szwajcarskich. Z zadziwiającą regularnością sumy te wpisywano na rachunek o numerze 132.77201 — kod: „Austral” — banku Banesto Banking Corporation w Nowym Jorku. Właścicielem rachunku jest spółka brazylijska pod nazwą Walter Exprinter.

W tym momencie dochodzenie urywa się, za nazwiskiem Waltera Exprinter a bowiem ukrywają się — stosownie do informacji będących w posiadaniu policji włoskiej i amerykańskiej DEA — generałowie brazylijskiej armii. Ostrożny w tej materii wymiar sprawiedliwości Brazylii odmawia współpracy w śledztwie. Dyrekcja szwajcarskiego banku, zapytana przez dziennikarzy, odpowiada, że „kantor banku zareagował właściwie i wykonał należycie swe obowiązki” oraz że „niczego nie można mu zarzucić”.

Postscriptum: podobnie jak służby bezpieczeństwa i służby wywiadowcze różnych krajów, międzynarodowe organizacje agentów śmiertelnie posiadają w większości uprzemysłowionych państw swych stałych przedstawicieli, którzy czuwają nad całością operacji przeprowadzanych w danym kraju. Pozostają oni anonimowi dla konwojentów sprząających narkotyki, a nawet dla emirów. Przedstawiciel siatki brazylijskiej w Szwajcarii nazywał się Michel Frank. Syn bogatych przemysłowców szwajcarsko-brazylijskich, urodzony w Brazylii, był poszukiwany od 1976 roku przez policję stanową Rio de Janeiro w związku z zabójstwem młodej obywatelki Brazylii. Frank, od lat zamieszkiwał wygodną willę położoną na Starym Mieście w Zurychu. Brazylijscy ojcowie chrzestni najprawdopodobniej nie mogli pogodzić się z faktem rozpracowania ich europejskiej siatki. W niedzielę rano, 24 września 1989 roku, odnaleziono ciało Franka, podziurawione kulami w jego podziemnym garażu.

Filizanka

Jan Prokop

Pan Józek przychodzi w niedzielę po południu, gdy go żona wygania z domu albo gdy chciałby porozmawiać. Tym razem chce porozmawiać, pyta, skąd się bierze UFO, widział w telewizji chłopca spod Siedlec, którego porwało na trzy dni, opowiadał jak wygląda ich statek, jak się unosi do góry.

Za Niemców jeździł często do L. Tam do gospodyni przyszli partyzanci, wzięli prosię. U gospodyni służył chłopak z Bochni, nie martwie się, powiada, ja ich poznom, taki hardy! Dwóch ich było, jeden chudy, drugi w kożuchu, gruby. Ten chudy usłyszał, mówi, pódziesz z nami, pan Józek czasem zagada po wiejsku, zwłaszcza gdy cytuję kogoś, choć zwykle mówi jak w mieście. Pódziesz z nami, nieduży był ten chłopak, ze czternaście lat? Skąd ich miał poznać, chyba że z Bochni byli, może z okolicy.

W L. nikt ich nie znał, poszli przez wieś, napili się mleka u sąsiadki, podziękowali, chłopak też się napił. Wyprowadzili go pod las, tam jest taki laszek, za tą wsią, grzybów dużo i borówek, — pan Józek niewłaściwie nazywa borówkami czarne jagody jak wszyscy w Małopolsce. Zamysła się trochę, coś tej kawy teraz nasprawdzali, u Jaśki, w „Jagódce”, w pawilonie jest po — i wymienia ostatnią cenę trochę niższą niż w zeszłym tygodniu — z Austrii przywożą, handlują, w Myślenicach wczoraj pełno było szynki w puszkach i czekolady, wiadomo, oplaca się.

Odstawia filizankę na brzeg stołu, ej, spadnie panu, mówię, taki nerwowy jestem, ciśnienie widać niskie, rano w autobusie słabo mi się zrobiło.

Pod lasem gajówka, za płotem stanęli i ten chudy strzelił dwa razy, potem znowu dwa razy. Coś tam jeszcze postali, pogadali.

Panie Józku, mówię, ta kawa, rany Boskie, i rzeczywiście, trach, cała filizanka w drebiezi!

Witold Turdza odkrywa nieznaną arcydzieła

PSALM TADEUSZA NOWAKA

Znany kręgom uniwersyteckim znakomity badacz języka polskiego, dr Waclaw T., dla wytchnienia sięgnął do tomu psalmów Tadeusza Nowaka. Natrafił w nim na rękopis jeszcze jednego utworu poety, dotąd jednakże nie wydane drukiem. Dr Waclaw T. przypomniał sobie niezwykłą historię znalezienia tego wiersza, który tyle lat przeleżał zapomniany w przebogatej bibliotece badacza. Otóż studiując filologię polską w UJ, mieszkał on w „Zaczku”, w tym samym pokoju co T. Nowak. Któregoś wieczoru, kiedy w kłębach dymu z papierosów zgłębiał zawilgości gramatyki, dłużej odruhowało w żelaznych (już wtedy podniszczonych) prętach piętrowego łóżka. W pewnej chwili natrafił na coś miększego od żelaza. Był to zwitek papieru — zaciekawiony Waclaw T. wyciągnął go ostrożnie i zobaczył... wiersz. Jak się później okazało, był to jeden z pierwszych psalmów T. Nowaka, z którym od tej pory przyszyły wybitny naukowiec zaprzyjaźnił się serdecznie. Wiersz schował głęboko na pamiątkę tej przyjaźni i dopiero teraz, odnalazszy go, postanowił udostępnić, nie chcąc pozbawiać szerokich rzesz czytelników pięknego utworu wspaniałego poety.

Psalm o strachu na wróble

Na bożym polu stanął krzywo
Stół tak ludzki nadaremnie
lachmanu struchlałego grzywą
w polne wrośnięty zamyslenie

A kiedy jutrzni chusta srebrna
przykrywa drżącą rzeki ranę
na oślep chwytła berło zgrzebla
poprawia szmaty snem stargane

I potem skrzydłem archanielskim
kontowi dzwoni co się staje

u między rośnej trawy zielskiem
sen płoszy potem ziemię kraje

Pęka spierzchnięta skóra ziemi
bochnami skib nabrzmiewa w ciszy
ziarnami potu się zieleni
losu strąk spełnień coraz bliższy

A strach półżywy i półsen
wróble dziobiące ziemi boki
przegania na ich strach codzienny
a na nasz ludzki młody spokój

Brzemienne rośnie włosy dzieła
dzwon traw kołysze pod obłoki
skowronek modlitewnik śpiewa
Pomódmy się za ziemi soki

Jak drukowaliśmy

Barbara Sola

Mijając na klatce schodowej sąsiada z II piętra, który zjeżdżał po poręczy schodów z białym rulonem papieru pod pachą — przypomniałam sobie niedawną, radosną przeszłość. W niedawnej przeszłości nasza skromna kamienica, szara kostka z kamienia była siedzibą redakcji 14 pism. Na parterze wychodził „Głos wolny”, na I piętrze „Wolny głos”, II piętro wydawało tygodnik „Słowo niepodległe”, III — kwartalnik naukowy „Drżysz, czerwona komuno!” Z mansardy rozchodził się na cały powiat, w parzyste dni tygodnia, „Biuletyn bojowca”, a w nieparzyste „Niebieski dzwonek”.

Wszystkie redakcje były tak głęboko zakonspirowane, że tylko mleczarz, stawiając rano butelki pod drzwiami, mógł wyciągnąć jakieś wnioski ze snu, równo zaplecionego w warkocz z szumem maszyn do pisania.

W przeciwieństwie do mleczarza redaktor każdego pisma czuł się jedynym i wyłącznym właścicielem hałasu, który rozchodził się z naszej kamienicy.

Gdy prawda wyszła na jaw tzn. gdy pewnego dnia felietonista „Biuletynu bojowca” pomylił drzwi i zaniósł swój

felieton do „Niebieskiego dzwonka”, zamieszanie zrobiło się tak wielkie na klatce schodowej, że dopiero dozorca rozdzielił redaktorów dwóch „Głosów” („Głosu wolnego” i „Wolnego głosu”) wyrrywających sobie korektora kwartalnika naukowego z III piętra zatytułowanego: „Drżysz, czerwona komuno!”

Następnego dnia na naszej skromnej kamienicy, szarej kostce z kamienia pojawił się napis zrobiony z białego styropianu:

PRAWO DO CZYTELNIKA
PODSTAWOWYM PRAWEM
CZŁOWIEKA.

Miniaturki Teresy Truszkowskiej

PIELGRZYMKA

Wyruszyli na tę pielgrzymkę pewnego majowego poranka. Było ich dwanaścioro w różnym wieku: młode dziewczęta i chłopcy, mężczyźni i kobiety w sile wieku, paru starców i jedna przygarbiona staruszka. Zdążyli do kaplicy, w której ołtarzu znajdował się cudowny obraz Madonny, słynny na całą okolicę. Mieli kilka dni wędrówki przed sobą. Wyruszyli więc owego ranka ze śpiewem na ustach, niosąc toboleki z jedzeniem. Daleko po polach i krętych ścieżkach niosło się ich śpiewanie. Dziewczęta rozpuściły włosy i wplotły w nie świeże kwiaty.

Lecz do kaplicy w oznaczonym dniu nie dotarli. Niektórzy widzieli ich jeszcze po drodze w jakiejś wiosce lub odpoczywających pod cienistym drzewem. Ktoś słyszał, jak nucili wieczorem przy płonącym ognisku. Ale tu wszelki ślad się urywa.

Wówczas obraz w kaplicy zaczął błędnąć. Rysy Madonny stawały się coraz mniej wyraźne. Zostały tylko oczy prze-

źrocyste, patrzące z niemym pytaniem. Pewnego dnia obraz zniknął.

MOST

Gdy znalazła się w połowie mostu, przeciwległy brzeg zaczął się oddalać. Przyspieszyła kroku. Zdawało się jej, że znajduje się na ruchomej platformie, która ją dokądś porywa wbrew jej woli. Zaczęła biec. W uszach szumiała jej krew, wiatr rozwiewał włosy. Jak wszystko tam wyglądało inaczej. Miała wrażenie, że wzbija się w górę i widzi krajobraz przechylony pod pewnym kątem. Znajome drzewa pięły się wzwyż dymiąc szarą mgłą listowia, pagórki przesuwają się jak na szachownicy. Spokojnie płynąca rzeka nagle spięła ostrogi, uniosła się w strzemionach łożyska i kłębiąc się opadła wodospadem.

A ona biegła naprzód chcąc dogonić tamten brzeg, co jak łamiągówka tracił i uzupełniał brakujące fragmenty.

I wówczas pojęła, że jakiś ukryty dźwieg porusza ten krajobraz podobnie jak ją samą.

DEKADA LITERACKA — tygodnik kulturalny. Wydawca: Wydawnictwo „Gazeta Krakowska”, Spółka z o.o. Adres: 31-072 Kraków, ul. Wielopole 1, IV piętro. Redaguje zespół: Leszek Elektorowicz, Krzysztof Lisowski (sekretarz), Jerzy Lohman, Włodzimierz Maciąg, Jan Piekło, Jan Prokop, Bogdan Rogatko, Dorota Terakowska (redaktor odpowiedzialny), Teresa Walas, Marta Wyka. Współpracują: Danuta Abrahamowicz, Stanisław Balbus, Waclaw Iwaniuk (Toronto, Kanada), Stanisław Lem, Leszek A. Moczulski, Tadeusz Nyczek, Leszek Polony, Stanisław Rodziński, Marek Rostworowski, Jan Józef Szczepański, Wisława Szymborska.

ISSN 0867-4094

Wacław Klag przedstawia:



Stanisław Lem

HYDE PARK czytelników

Dziś z przyjemnością prezentujemy dwa wiersze z arkuszy poetyckich wydanych ostatnio przez p. JANNA CURYŁĘ z Tarnowa. Pan Jan debiutował w roku 1984 (to dość późny debiut) i zdążył już wydrukować wiele wierszy w prasie literackiej i regionalnej, opublikować arkusze liryczne, zdobyć kilka nagród na konkursach literackich.

Wiersz Najmocniej pachną... wyjmujemy z tomiku „Album wspomnień”, „Najłatwiej...” z arkusza pt. „Dywagacje”. I — życzymy powodzenia w dalszym pisanii!

Najmocniej pachną stare fotografie
za każdym razem inaczej
macierzą za wieczornym oknem
poranną kartoflanką kiedy
nie było chleba
pierogami z kapustą tak
odległych wigilli

Kiedyś powódź szumiała
a potem był kryzys
ale gdzie mu tam do dzisiejszego

Matka często śpiewała
przy obszywaniu nawet w okupację
i wtedy mroźne wzory na szybach łagodniały

Album wspomnień ma jeszcze moc
uskrzydlenia ciężarów
jakby tamte ręce ogrzewały
słońcem otuchy
wszystkie drogi

Najłatwiej
przyjaźnić się z Kanadą
nigdy nie było między nami wojen
ani innych konfliktów

W drugiej wojnie światowej
oba narody walczyły
na tych samych frontach
a kanadyjscy lotnicy nieśli
pomoc warszawskim powstańcom
Tam
mieszkają tysiące Polaków i weteranów
i choć z oddalenia
jakże przecież blisko
jesteśmy sercem
i podobną myślą